Nr. 6. Warszawa, dnia 6 Lutego (25 Stycznia) 1892 r. Rok XII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY „KULTURKAMPF.“

Spodziewaliśmy się z niewątpliwą pewnością, że lada chwila padnie z ust któregokolwiek posła opozycyjnego w sejmie pruskim wyraz, który kiedyś dał hasło do innej walki, a obecnie będzie niem w nowej — wyraz „kulturkampf.“ Jak wiadomo, wypisała go na swym sztandarze partya katolicka w Niemczech (centrum), która zrodziła się z polityki prześladowczej Bismarka, przez lat 20 toczyła z nim wojnę i wreszcie zwyciężyła. Nieznany jest ojciec nazwy „kulturkampf“ — podobno ma być nim Virchow, który na początku kampanii stał przy boku kanclerza i dopiero potem go opuścił. Tem mianem chciano określić walkę kultury z roszczeniami Kościoła. Otóż teraz, gdy do sejmu pruskiego rząd wniósł projekt reformy szkolnej, czyniącej zadość najskrajniejszym żądaniom wyznaniowym w dziedzinie oświaty, Richter obwołał nowy i tym razem prawdziwy „kulturkampf.“ Rzeczywiście rozpoczęła się zacięta wojna. Stronnictwom liberalnym nie chodzi o wykład religii w szkołach i o udział duchowieństwa, ale o poddanie ich pod przeważny wpływ władzy pastorsko-księżej i o zupełne wyłączenie szkół mieszanych, różnowyznaniowych. Na tym głównie punkcie ma się dokonać zwrot w kierunku wstecznym. Daremnie kanclerz Caprivi i minister oświaty Zedlitz wszelkimi sofizmatami usiłują dowieść oburzonym, że państwo nie zrzeka się swych praw zwierzchniczych nad wychowaniem ludu, że one zatrzymują nadal charakter świecki, że projekt pozostaje w zupełnej zgodzie z konstytucyą, że jeżeli szkoła ma być chrześciańską, musi być wyznaniową — opozycya dostrzega ukryte w worku szydła i wywołuje wrzenie. W zeszłym tygodniu przybrało ono wielkie rozmiary. Naprzód ulubiony minister cesarza, Miquel, niegdyś przywódca narodowo-liberałów, podał się do dymisyi, której mu odmówiono. Następnie drugi ich hetman, zajmujący również stanowisko urzędowe, naczelny prezes Hanoweru, wystąpił w sejmie z ostrą krytyką projektu i wezwał wszystkie żywioły liberalne do łącznej walki z obecnym „kursem.“ Cała lewica parlamentu, którą wsparli wolnokonserwatywni, gwałtownemi mowami podczas obrad rzuciła w naród zarzewie rozjątrzenia. Kanclerz i minister oświaty mężnie odpierają te ataki, ale coraz bardziej podnoszą chorągiew reakcyi, zrywają dotychczasowe sojusze z liberałami i opierają swą politykę wewnętrzną wyłącznie na dwu filarach — konserwatyzmie protestanckim i ultramontanizmie katolickim. Cesarz rad by tę waśń uspokoić, oświadcza nawet przez swych ministrów gotowość do ustępstw, dotychczas wszakże na złoty most zgody nie ociosano ani jednej belki.

Co ta wojna znaczy i skąd ona wybuchła? Wierzymy, że twórcy i obrońcy projektu, Caprivi i Zedlitz, są szczerymi chrześcianami i pragnęliby utrwalić religię w szkole, ale trudno przypuścić, ażeby oni osiągali to za pomocą oddania nauczycieli pod zwierzchnictwo księży i pastorów, ażeby uczuli nagle gwałtowną miłość do katolicyzmu, który na reformie najwięcej skorzysta i ażeby podzielali pogląd papieża, że tylko Kościół zdolny jest rozwiązać wszelkie zagadnienia społeczne i stłumić socyalizm. Może to być przekonaniem polityków watykańskich, ale nie pruskich. Jeżeli więc ci ostatni tak nagle zajęli stanowisko Windthorsta i tak zawzięcie bronią przywilejów kleru, musi po za tym „kulturkampfem“ kryć się jakiś interes.

Pogłoski zaczęły go już wydobywać na wierzch. Ostatnioroczny rachunek skarbu państwa niemieckiego przedstawia się dość niepomyślnie, szruba podatkowa zapuściła się już do gruntu, wydatki na armię dosięgły cyfr olbrzymich, tymczasem rząd widocznie potrzebuje nowych na ten cel ofiar. Ani liberalni, ani postępowcy i demokraci dalszych kredytów wojskowych nie przyznają — cała więc nadzieja w konserwatystach i katolikach. Pierwsi kiwną głowami według komendy, ale drudzy godzą się tylko — według zasady swego zmarłego mistrza — na handel zamienny: dają, gdy za to coś biorą. Otóż dla zjednania ich sobie rząd daje im bardzo cenny prezent — szkołę wyznaniową, podległą wpływowi i zwierzchnictwu duchowieństwa. Skoro ten dar otrzymają, nie odmówią tylu milionów na uzbrojenia, ilu rząd wymagać będzie.

Przy tym samym ogniu upiecze się inna pieczeń polityczna — przyjaźń papieża, wielce dla Niemiec pożądana zarówno w działaniach wewnętrznych, jak zewnętrznych. Dotąd Leon XIII objawia swe łaski Francyi, a więc zachowuje się co najmniej obojętnie względem trójprzymierza, zwłaszcza że do tego związku należą Włochy. Zyskanie takiego sojusznika byłoby nabytkiem wielkiej wagi.

Są to naturalnie tylko przypuszczenia, ale przypuszczenia nader prawdopodobne. Niedaleka przyszłość potwierdzi je lub zaprzeczy. Tymczasem ponieważ rząd w zasadzie nie ustąpi i z drobnemi poprawkami projekt przeprowadzi, rozpocznie się w Niemczech nowy „kulturkampf,“ w którym naodwrót poprzedniemu stroną zwycięzką i prześladowczą będzie centrum, a pokonaną i prześladowaną żywioły liberalne. Walka zapowiada się bardzo gorąco, tak gorąco, że nieprzyjaciele Bismarka nie wahają się sławić go i twierdzić głośno, iż za jego władzy taki ruch wsteczny, taki zwrot cofający oświatę narodu w dawno minione czasy byłby niemożliwy. „Nowy kurs,“ który dotąd był przez nich błogosławiony, teraz zaczyna być przeklinany, a Caprivi, który tak zachwycał liberałów, przedstawia im się jako smok reakcyi. Bądź co bądź, jesteśmy widzami jednego z najciekawszych procesów politycznych, który mieć będzie bardzo doniosłe następstwa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki, a raczej król pruski, dokłada wszelkich starań, ażeby zażegnać burzę i nakłonić pewien odłam liberałów do przyjęcia projektu szkolnego, który jest obecnie rozpatrywany w komisyi sejmowej. Wilhelmowi II chodzi o to, ażeby po kraju nie rozbrzmiał krzyk na reakcyę, który byłby zasiewem niechęci i nienawiści, a także o zatrzymanie ministra Miquela, który jako narodowo-liberał w razie przyjęcia ustawy nie mógłby pozostać na swym urzędzie. W tym celu odbywają się rozmaite narady prywatne, obiady i kolacye, w których król przyjmuje udział. Wątpilibyśmy, ażeby udało się nadać projektowi taką formę, któraby zadowoliła ultramontanów katolickich, ortodoksów protestanckich i narodowo-liberałów, gdyby ci ostatni nie dowiedli wielokrotnie, że zapomocą nich można rozwiązywać kwadraturę koła.

Z olbrzymim nakładem siły płuc, wina i pieniędzy odbyły się wybory sejmowe w Węgrzech. Są one zawsze i były teraz gwałtownym wybuchem namiętności, zarazy moralnej i najgorszych instynktów ludzkich, widokiem tak wstrętnym, że on zdolny obrzydzić biernemu widzowi wszelkie tego rodzaju „wykonywania praw obywatelskich.“ Litrów wina, wlanych w krzyczące gardła, kijów, spadających na głowy i grzbiety — nie policzono; porachowano tylko poległych w walce dość ściśle i wydane sumy na kupno głosów — przybliżenie. Rząd miał rzucić na szalę swego stronnictwa przeszło pół miliona guldenów. To się nazywa prawidłowem działaniem maszyny konstytucyjnej! Do jakiego stopnia wybory były rzeczywistą wojną, świadczą nietylko zabici i poranieni, ale przygotowania wojskowe. *Pester Lloyd*, organ rządowy, zamieścił artykuł, w którym autor rozebrał bardzo szczegółowo działanie pałaszów i pistoletów w tej „walce umysłowej“ ze stanowiska strategicznego i taktycznego, a rozważywszy nadzwyczajną zabójczość nowej broni, radził zamiast piechoty użyć kawaleryi do... wyborów. Dodać trzeba, że cały ten bój jest właściwie bezcelowy, gdyż nikt nie wątpił, że rząd otrzyma dostateczną większość, a od r. 1867 ani razu nie był strącony przez wybory. Parlament węgierski przedstawia obraz całkiem niepodobny do innych europejskich: nie ma w nim partyj rozdzielonych zasadami społecznemi, religijnemi, a nawet politycznemi, nie ma konserwatystów, liberałów, demokratów w właściwem tego słowa znaczeniu. Posiada on cztery stronnictwa: rządowe, dawniej pod dowództwem Tiszy, obecnie Szaparego, narodowe, któremu przewodniczy Apponyi, grupa Ugrona oraz niezależna z Ivanyim na czele. Politycznie i społecznie wszystkie one są liberalne, różnią się tylko dążeniami i celami prawno-państwowymi. Dwie pierwsze stoją na gruncie dualizmu, wytworzonym ugodą z r. 1876, ostatnie zaś pragną niezależności Węgier i tylko połączenia przez koronę z Austryą (unii osobistej). W tych różnicach tkwią odcienie drobne, odnoszące się do organizacyi wewnętrznej kraju. I o to tyle przelewa się krwi, a zwłaszcza wina!

Podczas gdy Hirsch prowadzi dalej sprawę zakupu obszarów argentyńskich na kolonizacyę żydowską, a Rotschild probuje założyć mniejsze osady w Palestynie, hr. Taaffe zapewnił swoich słuchaczów w Radzie państwa, że przedsięwziął stosowne środki dla zatamowania napływu żydów do Austryi ze Wschodu. Wpuszczani są tylko ci, którzy posiadają paszporty i środki do życia.

Leon XIII znowu odzyskał siły, więc dyplomacya, walcząca o wpływy na wybór przyszłego papieża, może trochę odpocząć.

W Izbie włoskiej uchwalono prawo, karzące winnych roztrwonienia skarbów sztuki, które powierzono ich pieczy drogą fideikomisu. Ustawę tę wywołały gorszące wypadki śród zbankrutowanej arystokracyi włoskiej, która wyprzedawała za granicę najcenniejsze dzieła z galeryj, odziedziczonych z zastrzeżeniem utrzymywania ich w całości i na miejscu.

Portugalia niemal przyznała się do bankructwa. Do Izby wniesiony został projekt z długą listą rozmaitych podatków, które mają pokryć niedobor, wynoszący około 10 milionów milrejsów.

BADANIA NAUKOWE.

NASZA NAUKA I NASI UCZENI.

Nikt nie zaprzeczy, że czysta, oderwana nauka, niemająca na widoku żadnych celów praktycznych, jeno poznawanie prawdy, jest nader ważnym czynnikiem w rozwoju poczucia godności narodowej, a bez względu na to, czy i o ile wpływa umoralniająco na pojedyncze osobniki, stanowi ona dla społeczeństwa niezmiernie doniosły czynnik kulturalny i etyczny już przez to samo, że daleka jest od poziomych zabiegów o chleb powszedni, od walki o byt i że zadaniem jej jest tylko poznawanie czystej prawdy i wyjaśnianie zjawisk dla zadowolenia potrzeb ducha ludzkiego. Ale o ile jeszcze większą i donioślejszą jest potęga czystej wiedzy wobec faktu, że wszelkie jej zastosowania praktyczne, które uprzyjemniają życie ludzkie, koją cierpienia, powiększają sumę szczęścia i zadowolenia mas — są wypływem badań teoretycznych! Po największej części nowe idee i nowe odkrycia powstają w gabinetach badaczów, a stąd dopiero przenikają do pracowni lekarskich, do zabudowań fabrycznych, do salonów ludzi, korzystających pośrednio z postępów nauki, z jej zastosowań. Przypomnijmy sobie tylko, jakie korzyści osiągnęła sztuka lekarska z teoretycznych badań histologów, botaników lub anatomopatologów, ile ulepszeń i odkryć zawdzięcza przemysł współczesny teoretycznym dociekaniom chemików, geologów lub fizyków itd. itd.

Społeczeństwa naszego nie można obwiniać o zupełne lekceważenie nauki teoretycznej, tu i owdzie widzimy jednostki, poświęcające jej swój czas i pracę.

Dlaczego jednak nasza nauka i nasi uczeni po większej części tak niezmiernie mało ważą na szali ogólnego postępu wiedzy? Bo chociaż dla naszej prasy codziennej każdy, co napisał kilka książek, zwłaszcza z zakresu nauk przyrodniczych, matematycznych lub filozofii, jest już poważnym uczonym, to jednak liczni z tych „uczonych“ nic literalnie lub prawie nic nie wnoszą do skarbnicy prawdziwej wiedzy, a o wielu z nich badacze zagraniczni nie słyszeli. Ileż to posiadamy takich domorosłych, wielkich dla nas filozofów, psychologów, przyrodników itd., o których istnieniu nie wie nawet najskrupulatniejszy w śledzeniu literatury naukowej badacz niemiecki, francuski lub angielski. Bynajmniej nie stosuje się to do wszystkich uczonych naszych, posiadamy wielu bowiem w różnych gałęziach wiedzy rzeczywiście poważnych, stanowiących chlubę naszą wobec nauki zagranicznej, którzy pozwalają nam śmiało powiedzieć wobec innych społeczeństw: *epur si muove!* Zastęp tych ludzi jest jednak nadzwyczajnie mały w stosunku do licznej dosyć rzeszy „uczonych“ domorosłych, których działalność i praca nie dają wiedzy prawdziwej, wszechświatowej, nic lub pra-

---

AŁTAJ.

W długie, zimowe wieczory, gdy natarczywy gość — wicher północny — z dzikiem mruczeniem potrząsa jurtą tunguza, starcy zgromadzonej u ogniska dziatwie tak bają:

Ongi, gdy ludami mandżurów opiekowały się geniusze Tengry [1]), Syberya była krainą wiosny, szczęścia i bogactw. Najbiedniejszy posiadał co najmniej sto sztuk bydła, zapas ryb suszonych na rok cały, a futrami bobrów, soboli i lisów jurty wyściełał. Głodu, wichru, chorób, nawet z imienia nie znano. Wilki tułały się w niedostępnych tundrach, niedźwiedzie zas płodziły się jeno po to, aby sprawić przyjemność tunguzowi — włażąc na jego oszczep.

Niestety! Dobra dola znieczuliła dusze mandżurów; zapomniano o zaklęciach, ofiarach; o należnym szacunku dla szamanów [2]) aż się miara przepełniła — opiekuńcze duchy opuściły ich ziemię.

* * *

Stary bojan słowiański, błądząc po puszczach Syberyi, spotkał świętego szamana, starszego niż Ałtaj. Był to szkielet bez krwi i ciała, duch prawie. I gdy bojan wielce zdumiony spytał szamana, czy duch śmierci zapomniał o nim, ten mu rzekł głosem poważnym:

— Ja strzegę zakonu Chormuzdy [3]). Poczem zapytał:

— Powiedz mi bracie z zachodu co to za przyrząd masz z sobą?..

— Lira... Gdy wicher wściekły szaleje, gdy chmura w mgłę się roztapia, pochłania słońce i księżyc, natenczas w struny uderzam, śpiewam, zaklinam — a światło wraca na ziemię.

...Gdy nędzarz z głodu umiera, rolnik upada pod trudem, sierota łzami się truje — trącam w moje struny dźwięczne, śpiewam, zaklinam: spływa otucha i radość.

...Kiedy brat godzi na brata, gdy krew wytryska z pod serca i jęk się wokoło rozlega — targam me struny rozgłośne, śpiewam, zaklinam: miłość i zgoda powraca.

— Zagraj więc, bracie — rzekł szaman — jeśli twe słowa są prawdą, ten oto dąb napół zgniły powinien ożyć, rozkwitnąć.

Bojan uderzył po strunach.

Zaledwo tony zabrzmiały, wiatr zamarł, szmery ucichły, chmurka płynąca nad puszczą stanęła w miejscu i uroniła na ziemię łzy rozrzewnienia, promyki zaśmiały się tchnieniem wiosny, dąb stary pokrył się liściem.

Szaman zdumiony zawołał:

— Słuchaj mię, bracie z zachodu, powierzę ci tajemnice:

Był czas, gdy ludy mandżurów słynęły nad wszystkie inne; gdy Ałtaj, Bajkał, Enisej, źródła Amuru i Leny nie znały innych języków, krom dźwięcznej mowy tunguza.

Chormuzda nawiedzał ziemię jeno z uśmiechem radości, więc smok Łu [4]) nie śmiał się rzucić na słońce, księżyc i gwiazdy, nie śmiał skrzydłami swojemi kryć ich przed wzrokiem człowieka.

Hoża małżonka Chormuzdy, matka mandżurów — Etugen [5]) rodziła dzieci obficie.

[1]) Tengry, podrzędne bóstwo; jest ich dziewięć.

[2]) Szaman — kapłan, dosłownie: wpadający w zachwyt.

[3]) Pojęcie o Chormuzdzie jest dwojakie: 1) Niebo materyalne męzkiego rodzaju, źródło życia na ziemi i 2) Niebo duchowe, p. Perski Ormuzd.

[4]) U chińczyków Lu — symbol władzy, u mongołów zarządza burzą, gromami.

[5]) Etugen — ziemia rodzicielka wszystkiego, co żyje.

wie nic. Dlaczego tak jest? Zdaje mi się, że tu główna przyczyna tkwi w trzech następujących patologicznych właściwościach umysłowości, bardzo rozpowszechnionych niestety w naszem społeczeństwie. Są to: 1) dążenie do zbyt wielkiej wszechstronności, 2) gonitwa za oryginalnością, 3) wstręt do badań samodzielnych i do uwzględnienia cudzych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż zbyt wielkie zasklepianie się w pewnej gałęzi lub, co gorsza, w pewnej gałązce konaru wiedzy jest wielce szkodliwem dla umysłu i niepożądanem; są przecież ludzie, których nic więcej nie obchodzi nad muchy lub ptaki wróblowate, nad mchy lub grzyby! Ludzie tacy mogą wprawdzie przynosić korzyść (ale tylko pośrednią) nauce, lecz przez zbyt jednostronne zacieśnianie się w pewnych badaniach umysł ich gnuśnieje i staje się niezdolnym do ogarnięcia szerszych widnokręgów, które obejmować powinien każdy prawdziwy uczony. Z drugiej atoli strony przy obecnym rozwoju poszczególnych gałęzi wiedzy, specyalizacya w pewnych kierunkach jest niezbędna, jeśli nie chcemy być dyletantami, lecz rzeczywiście i gruntownie pragniemy poznać jakąś umiejętność. Nie wyłącza ona bynajmniej możności ogólnego wykształcenia i szerszej działalności; spójrzmy tylko na uczonych niemieckich lub angielskich, na Virchowów, Du Bois-Raymondów, Huxley'ów oraz na setki badaczów drugo i trzeciorzędnych, gruntownych i ścisłych, poświęcających się nietylko specyalnościom naukowym, lecz także polityce, pracy społecznej, literackiej, popularyzowaniu wiedzy itp. Ale zupełnie rzecz inna, gdy działalność nienaukowa lub zbyt „wszechstronne“ studya zabijają gruntowność „uczonych“ ku szkodzie wiedzy w kraju naszym, tak ubogim w siły poważne. Niektórzy z naszych uczonych uważają się za specyalistów różnorodnych, przypominając owych średniowiecznych mężów nauki, co to jednocześnie wykładali w akademiach chemię, retorykę itp. Smutnem jest bardzo, że i młodzież nasza zdradza po największej części toż samo zamiłowanie do wszechstronności — stąd płytkość i nieścisłość pracy naukowej. Ileż to mamy młodych ludzi, zdolnych i inteligentnych, pragnących czegoś więcej nad „wyrobienie sobie stanowiska,“ którzy, rzec można, zmarnowali się tylko dlatego, że studyując np. medycynę, matematykę lub nauki przyrodnicze zajmowali się zanadto gorliwie ekonomią polityczną lub socyologią! Są oni potem lichymi lekarzami, nieukami w matematyce lub przyrodoznawstwie, a jeszcze lichszymi ekonomistami. Co za korzyść z nich dla społeczeństwa? Nietylko że pożytek nader wątpliwy, ale nawet szkodliwość oczywista, wszelki bowiem dyletantyzm, nieścisłość naukowa i powierzchowność — przynoszą ogromną szkodę społeczeństwu. Nie chcę być źle zrozumiany, powtarzam więc raz jeszcze, że zbyteczne zasklepianie się w jakiej specyalności jest szkodliwe, że odświeżanie ducha pracami gruntownemi z innych dziedzin nauki jest nietylko pożyteczne, ale nawet niezbędne dla podniety umysłowej, z drugiej atoli strony, kto pragnie chociażby w małym stopniu rzetelnie przysłużyć się nauce i nie traktuje jej jako sportu, dostarczającego tylko przyjemności i rozrywki osobistej, ten musi oddać się *jednej* gałęzi umiejętności, jej poświęcać głównie siły i swe zasoby duchowe. Śmiało można nawet powiedzieć, że większy stosunkowo pożytek przynosi zasklepiony w swej umiejętności ekonomista, statystyk lub matematyk, niż owi „wszechstronnie“ się kształcący młodzi uczeni.

(D. n.).

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA FILOZOFA, CZY FILOZOFIA POETY?

Literackiej działalności Guyau, jak i każdego innego pisarza, niepodobna należycie — na zasadach naukowej krytyki — ocenić, nie poznawszy jego poglądów filozoficznych. Mówiliśmy niedawno o jego estetyce. Z kolei przechodzimy do etyki.

Utylitaryzm nie daje należytej podstawy moralności, zdaniem Guyau, który zresztą uważa, iż ludzkość dobrze czyni, nie czekając na doskonałą teoryę etyczną, aby wykonywać cnoty społeczne. Główny błąd Benthama i jego uczniów tkwi w tem, iż zbytecznie opierają się na dążeniu do rozkoszy, pojmując zarazem tę ostatnią zbyt ciasno. Oprócz bezpośrednich przyjemności jedzenia, picia itd. są inne, związane z istotą naszej działalności: przyjemność życia, chcenia, myśli. Zresztą życie nie potrzebuje żadnych osobnych pobudek — nawet rozkoszy. Żyje się, aby żyć, myśli się, aby myśleć. Jest w nas zebrana siła, która musi się wydatkować. Rozkosz lub cierpienie mogą tylko towarzyszyć życiu, a najważniejszą jego cechą jest płodność, dzięki której osobnik nie może sam sobie wystarczać. Najbogatsze życie jest zarazem to, które najbardziej jest podatne do rozrzutności, poświęcenia, rozdania się innym. W ten sposób za podstawę moralności należy uważać nie instynkt i poczucie obowiązku, lecz samo życie. Tu znajdujemy krytykę popędów moralnych, stanowiącą najoryginalniejszy pomysł Guyau. Przytoczmy niektóre ustępy *). „Podług Spencera obowiązek moralny, który zawiera opór i wysiłek, zaniknie z czasem, pozostawiając miejsce swego rodzaju dowolności etycznej: instynkt moralny będzie tak niezrównanie silny, iż będzie nas porywał bez walki. Nie będziemy nawet mierzyli jego potęgi, nie mając pokusy opierania się mu. Nastąpi dzień — powiada Spencer — gdy instykt altruistyczny stanie się tak silny, iż ludzie wydzierać sobie będą sposobność objawienia go, za pomocą ofiary i śmierci.“ Twierdzenia te Guyau odpiera na tej zasadzie, że „cywilizacya rozwija nieograniczenie inteligencyę, zwyczaj obserwacyi zewnętrznej i wewnętrznej, słowem, ducha naukowego, który jest wielkim wrogiem wszelkiego instynktu i rozkłada wszystko, co natura związała. Potęga ta walczy przeciw wszelkiej powadze, walczyć też będzie przeciw powadze wewnątrz sumienia. Jakiekolwiek pochodzenie przypisujemy poczuciu obowiązku, jeżeli ono nie będzie usprawiedliwione we wszystkich punktach, wówczas stały rozwój umysłu może je z czasem mocno zmienić. Refleksya rozłoży to, co instynkt spoił. Zmysł moralny straci cały swój opór i całą swą trwałość. Sądzimy, iż można dowieść naukowo prawo następujące: „wszelki instynkt dąży do swego zniszczenia, stając się świadomym.“ Te oświadczenie mogłoby autora bardzo daleko prowadzić, gdyby był konsekwentnym: do stanowiska Ptirnera, albo też do determinizmu Owena. Innego wyjścia niema. Dziwna rzecz, Guyau wywinął się z tych ostateczności i stara się utkać z „życia,“ „metafizyki“ etc. jakąś przędzę etyczną, przed którą chwalona dopiero co „refleksya“ głupieje, podczas gdy mogłaby jednem cięciem zamienić tkankę na strzępki. Ale do tego wnet powrócimy. Obecnie zastanówmy się nad samym punktem wyjścia Guyau. Zdaniem naszem, podstawa, jaką on nadaje etyce w „życiu“ i jego „prawdziwej“ naturze, mającej polegać na „rozrzutności,“ „altruizmie“ itd. jest zbyt ogólną, aby można było oprzeć na niej jakiekolwiekbądź nau-

*) *Esquisse d'une morale*, str. 52 i dalsze.

Hojne rzeki Syberyi i Bajkał — morze bezdenne ryb dostarczało wszelakich, zaś Ałtaj z bracią, z synami, w głębi swych puszcz hodowały całe królestwa zwierzęce. Po nad brzegami strumyków dziatwa, igrając wesoło, zbierała barwne kamyki, co się tak lśniły jaskrawie, jak siedmiu mędrców lśnią gwiazdy [1]). Z tajgi i głębi wąwozów złota też srebra i miedzi na wyrób sprzętów codziennych, młode niewiasty tunguzkie zbierały według potrzeby.

Gdy Manichamo — bóg lasów — wyniosły, mężny i silny huknął swym głosem gromowym, trzy dni i noce wzdłuż puszczy echo leciało bez przerwy. Natenczas tunguz powstawał, składał ofiarę bogowi, a bóg mu zwierza dostarczał.

W zabiegach, w trudach podróży bogini Doł-Dzahajaczy [2]), strzegła tunguza od nieszczęść, od złych geniuszów i ludzi — zaś Emeheldży - Dzajaczy [3]) chroniła dziatwę i jurty.

[1]) Wielka Niedźwiedzica.

[2]) Dzaja czyli Dzahaja: los, fortuna, przeznaczenie. Przypuszczalnie była kiedyś jedną osobą, z czasem w jednem jestestwie utworzyły się dwie postacie: Dzol dzaja, tj. Szczęście dzaja.

[3]) Bogini dziatwy.

U każdej drogi, ścieżyny, łączących bratnie plemiona, na wzgórkach znanych szamanom mieszkały geniusze Obo [1]). Tutaj młodzieńcy i starcy w świąteczne dnie się zbierali.

Po modłach, sutych ofiarach sprawiano ucztę, zaś po niej ku większej części geniuszów tańce, turnieje, wyścigi rzeźwiły dusze tunguzów.

Bogini ognia — Ut święta [2]) strzegąc od wszelkiej zarazy, czystością ciała i ducha stale ich darzyła mieszkając wespół z rodzinami dbała o szczęście ogniska, o zgodę, miłość i przyjaźń. Przy jej ołtarzu wieczystym szaman oddawał dziewicę oblubieńcowi w zamęście.

Święte upiory — Ongony [3]) chroniły potomka swego od niesnasek, czarów i klęski.

Prawda, były i wówczas duchy złośliwe, co nieraz gmatwały myśli tunguza, płoszyły zwierza z pod strzału, niosły chorobę i urok, na dziatwę pomór zsyłały; lecz kto się w moc ich oddawał, sam sobie zwykle był winien. Mędrsi tunguzi zaledwo dostrzegli sprawki Ongona, wnet do szamana dążyli, składali bogom ofiarę... Kapłan zaklinał złe duchy, przywracał szczęście i zdrowie.

[1]) Bóstwo rzek. gór, pól.

[2]) Duch ognia, nie zaś sam ogień, jak niektórzy mniemają.

[3]) Duchy przodków dobre lub złe.

Był w owe czasy pamiętne szaman, któremu Thormuzda obwieścił wolę swą świętą: Dąż—rzekł—ze wschodu na zachód, ku południowi z północy, ogłoś plemionom mongołów, ogłoś mandżurom dostojnym, że święta matka Etugen żąda, aby cały świat ludzki składał jej hojne ofiary.

Pono zaś ludy południa, plemiona krnąbrne zachodu, nie chcą usłuchać jej żądań i w bałwochwalstwie wciąż trwają; owóż Chormuzda w swym gniewie zsyła Ongona wielkiego, co harde ludy wyniszczy, kult wiary świętej rozszerzy.

Szedł tedy szaman z tą wieścią, gromadził zastępy ludów, aż dotarł Burchan-Chałdanu, góry Ongonów najświętszych, plemienia onych bordżyginów. Tu skoro wolę Chormuzdy ogłosił onemu plemieniu, pwostał dostojny chan Czyngis i głosem mężnym zawołał:

— Witaj kapłanie Chormuzdy, wieszczu, lekarzu i mędrcze! Wejdź, poświęć moje ognisko, ofiaruj bogom krew, ciało. Czekałem ciebie tak długo, aż miecz mój pleśnią się okrył.

Wszedł szaman, ogień rozniecił, zaśpiewał świętą modlitwę, zapląsał przed Ut oł-

kowe badanie. Scholastyka „prawdziwej" natury „życia" lub „człowieka" jest oczywistą. Znamy człowieka w różnych warunkach historycznych, dzięki którym był raz egoistycznym, to znowu altruistycznym, w mniejszym lub większym stopniu. W społeczeństwie np. gminnem szczęście jednostki zlewało się poniekąd ze szczęściem ogółu i wówczas „prawdziwa" natura człowieka była poniekąd altruizmem; w epoce kapitalistycznej dzieje się wprost odwrotnie i „prawdziwa" natura bardziej się przechyla ku egoizmowi. Być może, iż pierwotna harmonia jeszcze się kiedyś odrodzi. Bądź co bądź powoływanie się na abstrakcyjnego człowieka nic nie rozstrzyga, a cóż dopiero jeszcze na „szlachetność życia" wogóle! Do jakich bzdurstw można tą drogą dojść, niechaj świadczy twierdzenie, iż w jakiejkolwiek formie się przejawia, zawsze jest dowodem tej „prawdziwej" natury człowieka. „Wszystkie narody — powiada Guyau *) — chociaż rozmaicie pojmują dobro, zawsze chcą go i stawiają sobie jego ideał." Zachodzi tylko różnica w pojmowaniu: jedne widzą moralność i dobro w zabijaniu starych rodziców lub dzieci, inne w czynach poświęcenia. Ale wszystkie te zjawiska bez wyjątku mają podstawę w „szlachetności" życia. Czyż można nadać lichszą podstawę etyce? Czy można być bardziej ślepym na klasowy jej charakter? Niewolnik lub chłop pańszczyźniany uważali swoje położenie za normalne i moralne, również jak kobieta je uważa dotychczas, a czyż ulega wątpliwości najmniejszej, iż odbył się tu najzwyklejszy gwałt jednych grup społecznych nad drugiemi? O tej stronie etyki Guyau nie ma najmniejszego pojęcia. On godzi wszystkie te sprzeczności w sposób nader prosty. „Wszystkie istoty ludzkie bez różnicy dążą w gruncie do dobrej woli. Ale ta wola jeszcze słaba, niezupełna zaznaczyła się naprzód w objawach, które ją tłomaczą niedoskonale (np. pożarcie ojca lub brata, lub *jus primae noctis*) Ale w miarę tego jak wola ta wzmacnia się, czyny, ją wyrażające, stają się coraz doskonalsze." Taki jest „istotny" rozwój. To, że nie ma grupy społecznej, któraby była pozbawiona wszelkich, jakichkolwiek zresztą, pojęć moralnych, nie dowodzi powszechności „dobrej woli," lecz jest odblaskiem stosunków, jakie się wszędzie ustanawiały między grupami społecznemi, a w każdej z nich między klasami, warstwami i płciami — stosunków, opartych głównie na sile. Ze wszystkiego widzimy tylko przyrodzony optymizm Guyau, a także brak zmysłu historycznego, który go w zupełności charakteryzował. Jest to umysł na wskroś metafizyczny.

*) *La morale anglaise*, str. 388.

Jeżeli obecnie przejdziemy do krytyki, zastosowanej przez Guyau do instynktów moralnych, to znajdziemy, iż jest ona słuszna tylko z punktu widzenia psychologii osobniczej, ale autorowi oczywiście szło o psychologię masową, a na tę kwestyę analiza jego nie rzuciła ani jednego promienia światła, gdyż w tym celu musiałaby być znowu historyczną. Żeby ocenić, na ile wyżej przytoczone prawo o stosunkach między „instynktem," a „refleksyą" może być odniesione nietylko do jednostki, ale i do społeczeństwa, Guyau powinien był zająć się historyą etyki, zbadać systemy zanikłe dzięki pracy myśli krytycznej, a także, jakie to warunki zapewniały panowanie naprzód instynktu, a następnie refleksyi. Sposoby wytwarzania i ustosunkowania się klas, oparte na sile, zajmowałyby w takiem badaniu miejsce pierwszorzędne zwłaszcza ustosunkowanie się klas, zważywszy, iż instynkty własnościowe rozwijały się jednocześnie z niewolnictwem, „prawa wstydliwości" z uciemiężeniem jednej płci przez drugą itd. Dopóki istnieją pewne formy wytwarzania, jak np. gospodarstwo niewolnicze, pańszczyźniane lub kapitalistyczne i oparte na nich stosunki klasowe, odpowiadające im popędy moralne są zjawiskiem koniecznem. Dlatego sądzę, iż Spencer, dla którego typ społeczeństwa kapitalistycznego jest ostatecznym etapem rozwoju ludzkości — a pod tym względem Guyau nie wiele się odeń różni — ma słuszność wobec francuskiego myśliciela, twierdząc, iż rozwój instynktów moralnych będzie szedł nieograniczenie swoją drogą. Przy takich warunkach prawo Guyau może się urzeczywistnić tylko na oddzielnych jednostkach, mas społecznych ono w żaden sposób objąć nie może. Przypuśćmy jednak, iż abstrakcyjna „cywilizacya," o której on rozprawia, siostra jego „życia"— jest tak wszechmocna, iż „refleksya" zapanowała nad „instynktem," jakież wówczas będą w społeczeństwie kapitalistycznem „równoznaczniki" zaginionych popędów moralnych i poczucia obowiązku? Oczywista rzecz, iż najważniejszym będzie bojaźń kary. Guyau do takiego stopnia żyje w obłokach, iż wyliczając cały szereg mniej więcej zagadkowych równoznaczników, zapomina o tym, niewątpliwym. Przypomina on tu Fausta, który wobec młodej, ładnej dziewczyny ma minę:

> Als stünden grau leibhaftig vor euch da
> Physik und Metaphysika!

Zobaczmy to równoznaczniki naszego Fausta. Pierwszy zawiera się w poczuciu zdolności i mocy. „Czuć wewnętrznie, co się jest *w stanie* zrobić, znaczy zdobyć zarazem świadomość tego, co się ma *obowiązek* zrobienia." Obowiązek jest to zbytek życia, który domaga się swego wyładowania. Ogólne prawo życia na tem polega, iż musi się ono rozlewać: zawsze więc będzie praca dla innych, altruizm, chociażby poczucie obowiązku kategorycznego znikło. Oprócz tego powinność — i to jest drugim jego równoznacznikiem — sprowadza się do *idei*. „Inteligencya jest sama przez się czynna" — zdaniem Guyau. Umysł i wola nie są oddzielone przepaścią. Czyn jest tylko dalszym ciągiem myśli. Samo pojęcie pewnego celu jest już wysiłkiem dla jego urzeczywistnienia. Nie ma więc potrzeby powoływania się na pośrednictwo rozkoszy lub obowiązku. Niemoralność, polegając na przerwaniu mostu między ideą a czynem, jest rodzajem wewnętrznego skaleczenia.

Trzeci równoznacznik polega na spokrewnieniu wciąż wzrastającem uczuć ludzkich, na rozwoju poczucia solidarności. Środowiskiem, do którego człowiek zupełnie się przystosuje, będzie środowisko ludzkie: nie będzie on mógł być szczęśliwy po za niem, „tak samo, jak nie może oddychać po za powietrzem." Zauważmy, iż ten ostatni równoznacznik grozi „samorządnym" jednostkom Guyau zupełnem uciemiężeniem przez masę i jej opinię, albo też ściśnieniem ich osobowości do stanowiska pszczół w ulu, po za którym one istnieć nie mogą. Mylne jest zdanie, jakoby ideały przyszłości w tym kierunku dążyły: niezależność polega tyleż na prawie czucia się osamotnionym w całym wszechświecie, co i na prawie być szczęśliwym w środowisku społecznem. Zresztą rozwój „refleksyi" nie pozwoli na „przystosowanie," które tak pachnie „instynktem."

Na zasadzie powyższych trzech równoznaczników Guyau przychodzi do wniosku, iż życie najbardziej „natężone i rozległe" będzie najmoralniejsze. Zapomina on wszakże, iż przy tych warunkach energia życiowa może się przejawiać pracą dla siebie ze szkodą bliźnich. Przykładem Napoleon. Ta okoliczność podważa w znacznym stopniu pierwsze dwa równoznaczniki. Ale wszystko to autorowi nie wystarcza: poczucie „nieznośności" życia w razie złego postępku także w szeregu występuje. Po za każdem rozumowaniem autora kryje się zwykle

---

tarzem i w tejże chwili wpadł w zachwyt: z ócz mu trysnęły płomyki, głowa promieniem zabłysła, oblicze — nieba wyrazem.

— Otwórzcie uszy — zawołał do zgromadzonych mongołów i do mandżurów dostojnych — padnijcie czołem na ziemię, śpiewajcie chwałę Chormuzdzie: Ongon zesłany nam z nieba, już wznosi miecz swój zwycięzki, miecz — Czyngis-chana!

Zaledwie słów tych dokończył, tłumy zebrane ujrzały w górze po nad jurtą onego Czyngisa, boga męstwa, Bohatura-tengri, wskazującego drogę na zachód daleki.

Powstał chan Czyngis i ruszył spełnić wolę Chormuzdy, wolę świętej matki Etugen. Za nim, jak chmury gradem i ogniem nabrzmiałe, płynęły ludy mandżurów, dążyły taury, mongoły, mahaje, na zachód niewierny.

Jako lawina padająca z gór Ałtaju miażdży spotykane na swej drodze lasy i krzewy, tak zastępy Czyngis-chana gniotły lasy ludów; ci tylko byli zbawieni, co złożyli hołd Chormuzdzie, ofiary — Ut bogini.

— Słyszałem — ozwał się bojan — o twym Czyngisie zwycięzcy; nie tajemnicę, lecz znane opisałeś mi dzieje.

— Znane, nieznane — rzekł szaman.

— Ażali wiesz, co się stało ze sławą zwycięzców?

— Zginęła razem z nimi — zauważył bojan.

— Razem z nimi!.. Czy ginie morze bezbrzeżne, słońce jaskrawe? Ażali mniemasz, że przed obliczem Chormuzdy one więcej znaczą, niż ludy?.. Nie tak się stało.

...Po śmierci chana Czingisa, z bogactwem, władzą i mocą wśliznęły się do jurt zwycięzców wierzenia obce mandżurom.

Z zachodu miłość kłamliwa, z południa Budda marzący, z pustyń Mahomet ponętny, zatruli dusze mandżurów... Starcy odbiegli swych bogów... gasły ogniska Ut świętej, aż nastał dzień strasznej kary.

...Spełniło się! Chormuzda odwrócił zagniewane oblicze, matka Etugen zastygła w letargu, Sulde [1]) dobroczynne zrzekły się opieki. Duch północnego bieguna—Szejtan[2]) targnął się na bogactwa matki Etugen, zgromadził je, ukrył w niezmiernych głębiach i kazał strzedz olbrzymom. Najgroźniejszym z tych stróżów jest stary Ałtaj: nieczuły, kamienny, rozparł się wśród Azyi; po prawej jego ręce skwar, po lewej — chłód, u głowy zaś, dokąd sięga oddech, step wymarł.

[1]) Suldy, raczej Sulde — opiekuńcze duchy-wcielone Tengry, ukazują się w postaci rycerzów zbrojnych.
[2]) Szejtan — wogóle duch zła.

Elje, Ada i Albin [1]) złowieszczem krakaniem, siejąc trwogę i boleść, latały od śniegów Ałtaja do lodów północy.

Kułczyn, zimny jak rozpacz, wkradł się nocą do jurty tunguza, gasił ognisko, naigrawał się, ziębił krew w piersi.

Ongony ciemne jak otchłań, złe jak namiętność spiknęły się na lud nieszczęsny, psuły mleko, stadniny, rwały arkany, łamały łuki.

Jak łanie pierzchają, gdy wilk wśród ich stada zawyje, tak ludy Syberyi brodziły wśród mroku, na oślep.

Zbolały, jam powstał, rozniecił ognisko, zaklnąłem Chormuzdę, geniuszów... Błagałem tak długo, aż jęk mój doleciał do nieba, aż łzy me skruszyły pierś matki Etugen.

I powstał Chormuzda i rzekł mi:

— Strzeż zakonu!.. Gdy skarby Etugen zostaną wydarte strażnikom, Syberya stanie się rajem.

Słysząc to Ałtaj kamienny zadrżał i rzekł do Szejtana:

[1]) Elje podobne są do ptaków wróżących nieszczęście; Ada — wznosząc się w powietrzu, sieje chorobę i zło; Albin, zapalając błędne ogniki, wiedzie na bezdroża; Kułczyn — ukazuje się w kształcie widma.

anegdota, w danym razie możnaby prawdopodobnie odnaleźć „zbrodnię i karę“ Dostojewskiego. Co za sprzeczność! A więc drobną furtką autor wprowadza wszystko, co wielkiemi wrotami powypędzał: pogwałcone poczucie obowiązku, zadraśnięte instynkty i zgryzoty sumienia. Nareszcie dla wypadków większych ofiar wskazuje następne pobudki: urok ryzyka—wystawianie się na niebezpieczeństwo dla siebie lub innych ma pociąg dla człowieka — i pobudki metafizyczne najrozmaitszego charakteru. Te ostatnie znowu trudno uważać za „równoznaczniki.“ Ostatecznie etyka, zdaniem Guyau, żądać będzie od jednostki tylko życia najrozleglejszego, przepisze jej pewne ofiary cząstkowe i określone, potrafi sformułować pewną sumę obowiązków życia codziennego. Niema tu zresztą nic kategorycznego, tylko rady warunkowe. Będą jednak wypadki — najwyższych ofiar — „gdy zagadnienie moralne nie ma racyonalnego rozwiązania, gdy etyka naukowa jest bezsilna i musi pozostawić zupełną dowolność jednostce, która będzie postępowała podług swej natury egoistycznej lub altruistycznej.“ Ze wszystkich równoznaczników Guyau ten jeden jest niewątpliwy i jeszcze drugi — bojaźń kary. Pierwszy — indywidualizm — będzie prowadził jednostki, zgryzione refleksyą, do najniższych zbrodni albo też do czynów najwyższego poświęcenia. Drugi, w połączeniu z prądami hypnotycznymi i naśladownictwem, utrzymywać będzie inteligencyę pod maską hipokryzyi, podrabiającą się pod etykę obszerniejszych tłumów. opartą na nieświadomych popędach. Spencer ma racyę, twierdząc, iż one— w ustroju kapitalistycznym — zaniknąć nie mogą. Guyau natomiast mógłby zapytać, czy nie nastąpią tego rodzaju warunki, przy których rozwój refleksyi ze szkodą instynktów mógłby objąć masy. Pytanie to logicznie wysunęłoby się z analizy historycznej, którą Guyau, niestety, pominął, i zaprowadziłoby go tam, dokądby on w żaden sposób przyjść nie chciał. Wogóle jest to umysł poety, lubujący się w obszernych, fantastycznych poglądach, niecofający się przed sprzecznością, musiał też stworzyć rzeczy, nadające się bardziej do wierszowanego opracowania, niż do badań naukowych. Dowodem jego *Vers d'un philosophe*, mający istotną wartość i wiele uroku.

Eipon.

LITERATURA POLSKA.

Henryk Gliński. *Z zakutego Grodu*, szkice fotograficzne. — Kl. Junosza. *Wybór pism, t. III. Panowie Bracia*, szkic.

Szkice p. G. nie są bynajmniej „fotografią,“ bo tę zaleca przedewszystkiem dokładność w odtworzeniu prawdy, raczej — karykaturą z rodzaju tych, które zdradzają zarówno rękę niewprawną, jak upodobanie do taniej humorystyki. Gdy w grę nie wchodzą wymagania artystyczne, łatwiej jest wogóle zjawisko jakieś usymbolizować, niż je w całkowitym realnym przebiegu przedstawić, bo symbol jest tylko punktem wychodnim na polu domysłów. To też pierwszą sztukę posiadają nawet dzieci, których samoistne próby rysunku są zwykle naiwnem usymbolizowaniem rzeczy i zdarzeń. Uprawiają ją również ci karykaturzyści, którzy np. człowieka, oddającego się obżarstwu, przedstawiają w taki sposób, że do najzwyklejszej figury dorabiają brzuch rozmiarów lokomotywy, gdy zaś narysują kobietę z wyciągniętym na łokieć językiem, to wtedy — rzecz oczywista, mamy przed sobą plotkarkę. I w literaturze— nie wyłączając naszej, jest osobna półeczka, na której mnóstwo zbiera się takich figur i obrazów, bardzo śmiesznych dla tych, co je tworzą i dla wielu dorosłych dzieci. P. Gliński dorzucił do niej tom jeden.

Satyra jego uderza nieszkodliwym mieczykiem w społeczność „Zakutego Grodu.“ Czy to ma być jedno z miast gubernialnych? Autor tak twierdzi, nie usuwając wielu wątpliwości. Dziś, życie jest tak złożone, że w najdrobniejszym odłamku nie daje się ono z pomocą paru koszlawych kresek przedstawić podobnie do prawdy. Nawet o nielicznej i bardzo prostego składu społeczności np. małego miasteczka, nie można powiedzieć, że ją stanowią w części ludzie nizkiego wzrostu, w części zezowaci i tacy, którzy w piątek nie jadają mięsa. P. Gliński opisuje górną warstwę społeczną „Zakutego Grodu“ i powiada tak: cechą jej ogólną jest małe oświecenie umysłów, na tem tle wykwitły rozmaite wady obyczajowe: obmowa, hipokryzya pod płaszczykiem religii i obżarstwo. Potem odrazu przystępuje do segregowania jednostek i znajduje: kilka kobiet oddających się wyłącznie obmowie i wykonywaniu praktyk religijnych, szantażystę, który za małą opłatą pokrywa milczeniem cudze błędy, księdza zakochanego w młodej pannie, doktora leczącego zastarzałą metodą, właściciela kamienicy przewyższającego żarłocznością Gargantuę, młodą kochającą się parę małżeńską i oryginału, który uwielbia Kraszewskiego i — na każdej stronicy ku najwyższemu znudzeniu czytelnika powtarza te same słowa: A co, panie, Kraszewski? Pi—pi... Z realizmem, nie tyle przypominającym Zolę, ile — p. Gabrylę Zapolską, wytyka autor, w surowo-szyderczym lub humorystycznym tonie, wady i śmieszności ludzkie, na które satyrę dawno ułożoną, umieją na pamięć oświecone miasteczkowe wrony.

Czy zaś wie on o tem, że w życiu takiego właśnie miasta gubernialnego, jakie opisuje, jest mnóstwo stron bardzo słabo oświetlonych przez beletrystów, a bardzo ciekawych do poznania, że te partykularze stały się już ważnymi ośrodkami życia, że ściera się w nich dziś tyleż bez mała, co w stolicy, czynników ekonomicznych, społecznych, kulturalnych, klasowych — które zgoła nie są to piętna na osobnikach i grupach wyciskają, jakie przed laty ośmieszał powierzchowny humorysta. Zaiste, partykularz czeka jeszcze na swego Kolumba i wart jest, żeby nim został myślący badacz i obserwator.

Szkic Kl. Junoszy p. t. „Panowie bracia“ wzięty jest z życia szlachty zagonowej, napół obróconej w chłopów, lecz — jak twierdzi autor — pomnej tradycyj i pochodzenia. Upatruje on u zagonowców pewną butę, zdradzającą się choćby w wąsie podkręconym i wyróżniającą ich zpośród zwykłych chłopów; przypisuje im nawet zdolność głębokiego rozrzewniania się z okazyi każdego wspomnienia o pieczęciach i rozmaitych oznakach szlacheckiej dostojności. Czy to jednak jest prawdziwe spostrzeżenie, czy rys dowolnie skomponowany dla nadania odpowiedniego kolorytu powieści, orzec trudno, ponieważ wniosków swych autor nie ugruntował na psychologicznem wniknięciu w dusze zagonowców. A ponieważ one zeskorupiały w ciężkiej pracy, do chłopskiej doli nawykły, pragnienia swe i ambicye skupiły u zagonu, oblanego potem ciał umordowanych, zatem — potrzeba bardzo jasno wytłomaczyć, z jakiej strony znajdują do nich przystęp dawno utracone mrzonki klasowe *).

W stosunki spokrewnionej gromady, na drobnych działkach osiadłej, autor wcale nie wchodzi. Poprzestaje on właściwie na podaniu kilku sylwetek. Bohaterom swym,

*) Kwestyę tę rozjaśnił Smoleński w dziełku *Drobna szlachta*. *Red.*

— Władco, jak ziemia istnieje, każdy, kto skarb zagrzebie, aby go ochronić od chciwców, zaklina — stawia warunek. Pomimo dbałej czujności, mogą nie dostrzedz tych kretów, co w ziemi chętnie się grzebią—gotowi skarbami zawładnąć. Zaklnij więc twoje bogactwa na mnogą ilość głów ludzkich: gdy tysiąc istot polęże, chętnych się więcej nie znajdzie.

Z uśmiechem zorzy północnej, Szejtan potężny tak odparł:

— Ej starcze, nie znasz ty ludzi: mniemasz, że śmiercią odstraszysz!.. Gdy zechcą celu dosięgnąć, złożą ci głów miljony, prędzej niż śnieżna wichura z północy do cię przyleci.

— A więc mój władco wielmożny, zaklnij twój skarb na łzy ludzkie: kto weźmie rydel do ręki, niechaj boleje i jęczy.

— Łzy ludzkie—odparł znów Szejtan— gdybym ich nie mroził od dawna, dziś by płynęły rzeki, kipiące, słone i gorzkie. Niechbym bogactwa me zaklął podług życzenia twojego, jutro byś we łzach utonął, a z tobą moje dziedzictwo.

...Nie trwoż się starcze atoli, uczynię skarb mój bezpiecznym: zmieszam go z gruntem skalistym i takie rzucę zaklęcie: Ten tylko zdobycz posiędzie, kto każdą bryłę tej ziemi obleje potem gorącym, ciężkim owieje oddechem. Skorych do znoju, do pracy, wśród ludzi nader jest mało; owóż bezpiecznie spoczywaj, nic twego snu nie naruszy.

— Panie — rzekł Ałtaj kamienny — dla większej starca otuchy, ześlij na ludy sny letargiczne, bez marzeń.

Duch się zadumał i szepnął.

— Uczynię zadość twej prośbie, więc uśpię całą krainę, lecz nie na wieki... Słyszałeś wolę Chormuzdy! Skoro się znajdzie ktoś w świecie, co skarby nasze zdobędzie, me panowanie się skończy.

— Niech usną tłumy—rzekł Ałtaj.

— Jednostki ja się nie trwożę: jeśli zbyt zacznie dokuczać, zgniotę ją dłonią kamienną...

Tu Szejtan ręką poruszył, wnet z pustyń dzikich Afryki przybył sen blady, nikczemny, łachmanem wstrząsnął nad krajem...

Naraz usnęli tunguzy, pokotem polegli burjaty, z nimi sachajc (ogólniejsza nazwa jakutów), koryaki i kamczadale i czukcze. Usnęli snem letargicznym: hordy mongolskie, kałmuki i jukagirzy nad Janą i oroczanie nad morzem — wszyscy jak wielka Syberya.

Tu szaman zwracając się do Bojana, błagalnie dodał:

— Pójdźmy, bracie, do jurt, zagrasz na lirze, obudzisz krainę senną, a wydrze skarby olbrzymom.

Bojan ruszył za Szamanem.

Zaledwo wstąpili do jurty i pieśń się dźwięczna rozległa, tunguz zerwał się, przetarł oczy i rzekł:

— Jak ciężko spałem!

Bojan szedł dalej z swą lirą, grał oraz śpiewał... Naraz szaman, drżąc z gniewu, porwał go za ramię i zawołał:

— Odejdź, skąd przyszedłeś! Ludy, które budzisz twą pieśnią—czarujesz. Nie pamiętają mowy swych ojców, nie rozumieją głosu mego... Natomiast wtórząc twej nucie idą za tobą... Odejdź skąd przyszedłeś!

Bojan odszedł. Dążąc na zachód daleki, śpiewał swym braciom piosnki o zaklętej krainie, o jej śnie wiekuistym.

Brolis.

w liczbie, zdaje się, pięciu — każe wieś rodzinną, gdzie na zagonach było im już za ciasno, opuścić i do współki nabyć duży folwark. Następnie kreśli ich sylwetki, dość żywo pod względem indywidualnym wyodrębnione, lecz niezbyt oryginalne i opowiada ich dzieje, w których również niewiele znajduje się rysów typowych i charakterystycznych dla całej gromady zagonowców. Tym więc razem, jak zwykle, autor ułatwił sobie temat, obchodząc złożone zjawisko społeczne i unikając złożonych indywidualności ludzkich. Jest to obserwator bardzo bystry na powierzchni życia, lecz do głębin jego i wnętrza duszy zaglądać nielubiący. Dlatego typy jego nigdy daleko od siebie nie odbiegają, spokrewnione są z sobą dzięki prostocie duchowej i często się powtarzają.

Za to niektóre obrazy życia, niemające głębszego podkładu psychologicznego, udają mu się wybornie. Jest np. w szkicu powyższym obrazek jarmarku w małem miasteczku. Ruch i gwar panujący na rynku, cały tłum prostaków, ogarniętych jakąś gorączką, która jest dla nich źródłem niezwykłych wrażeń i ogromnej emocyi, tu i owdzie przesuwające się ożywione, pełne charakteru sylwetki jarmarkowiczów — to wszystko z wielką prawdą oddane. Opis ten jest celniejszym ustępem powiastki, której bajka dość uboga.

F. B.

TEATR.

Sudermann. *Koniec Sodomy*, dramat w 5 aktach.

Od pewnego czasu spostrzegamy bardzo ważny zwrot w przeszczepianiu płodów obcej literatury dramatycznej na nasz grunt sceniczny. Po mdłych, banalnych i płytkich sztukach francuskich, po utworach ulubionych przez burżuazyę niemiecką, widzimy teraz skwapliwe wystawianie dzieł najnowszego okresu realizmu w dramatopisarstwie niemieckiem. Jednym z przedstawicieli takiego kierunku jest właśnie Sudermann, którego „Honor“ już znamy, obecnie zaś mamy sposobność poznać „Koniec Sodomy. Chociaż autor ten budzi niezadowolenie w wielu krytykach, jego współrodakach, chociaż Eugeniusz Wolff zarzuca mu „pustą deklamacyę“ i przyznaje zdolność odświeżania typów, wolimy jego prawdziwe obrazy życia, postacie nawet epizodyczne, odświeżone, niż reklamowane ideały filistrów berlińskich. W „Końcu Sodomy“ nie ma wyraźnej tendencyi, są natomiast wierne obrazy ze „świata towarzyskiego,“ który się rządzi kodeksem wychowania, dobrego znalezienia się w salonie i... buduarze. Pani Ada po za plecami męża umie wybornie bawić mężczyzn w jednym i drugim. Pomimo, że małżonek, stary rozpustnik, ciągle nieomal jest po za domem, zajęty grą na giełdzie, w jej salonach zawsze gwarno, wesoło, a i w sypialni nie samotnie. Z gromady pieczeniarzów i donżuanów wyróżnia ona jednego, Wilhelma Jänischa, kupuje jego obraz „Koniec Sodomy,“ urządza mu pracownię własnym kosztem i ceni w nim więcej zalety fizyczne, aniżeli talent. Opinia publiczna mniej ją krępuje, niż inne kobiety „ze świata“; zdenerwowana, trawiona ciągłą gorączką zmysłową, grzeszy częstokroć przeciwko formom salonowym. Do tego, co jej mawiał jeden z pieczeniarzy, cynik, doktór Weisse: „nie ma miłości, są tylko nerwy; nie ma woli — są tylko nerwy“ — możnaby dodać: nie ma kodeksu światowego, gdzie są tylko — nerwy! Kochanek atoli posiada sporą szczyptę godności własnej, której nawet rozigrane nerwy nie mogą zagłuszyć. Gryzie go utrzymywanie przez kobietę, a jeszcze bardziej zanikanie twórczości i talentu przy ciągłej grze zmysłowej. Jak przystało na lwa salonowego, na ulubieńca kobiet, zdobywa największy tryumf i to w odpowiednim nastroju, po pijanemu: uwodzi bardzo młodą i bardzo potulną sierotę, dziecię nieprawe — wychowanicę swoich rodziców. Scena ta, zdaje się, jest główną dążnością autora do wydobycia największego efektu. Koniec wydarcia niewinności zwyczajny, nieraz już używany nawet przez romantyków: samobójstwo uwiedzionej i to w stawie pod oknami uwodziciela. Są tylko świeższe draperye realistyczne. Scena gwałtu odbyła się nie przy świetle księżyca i śpiewie słowika, śród zieleni wiosennej, lecz po sutej libacyi — w pokoju panieńskim. I tu efekt w użyciu silnego kontrastu. Na krzyk (za sceną) młodziutkiej Klary, w chwili niespodzianej wizyty jej „półboga,“ wysuwa się z przyległego pokoju na widownię z lampą w ręku Kramer, serdeczny towarzysz szkolny Wilhelma i narzeczony wychowanicy jego rodziców. Biedak uczy się gorliwie przez całą noc mowy na cześć przyjaciela, podczas gdy ten tuż za ścianą popełnia gwałt na jego oblubienicy. Dziwna to postać tego Kramera! Niezdara, mazgaj zaślepiony bez granic w miłości dla uwodziciela, któremu oddaje ostatki swego mienia, a sam biedę cierpi — i zarazem chwilami wściekły, rozbija nosy i głowy tym, co się ważą jego narzeczoną zaczepić na ulicy. To też pierwotnie autor tę drugą jego cechę przeprowadził do końca zgodniej z prawdą psychologiczną. Kazał mu zamordować przyjaciela za zniewagę oblubienicy i zarazem — krzywdę swoją. Obecnie scena ta inaczej wygląda, zmieniona podobno pod wpływem rady krytyków berlińskich. Kramer po przyznaniu się Wilhelma do winy, wstrząsa nim tylko, a ten osłabiony nagłym krwotokiem płucnym, pada i za chwilę potem umiera. „Krew! Jeszcze go nie uderzyłem, a już krew!“ — woła narzeczony Klary i znowu w duszy jego budzi się mazgaj. Dla tej zmiany w zakończeniu sztuki autor musiał zrobić suchotnika z nieokiełznanego i niestrudzonego pogromcy niewiast, a dla zaznaczenia choroby wprowadził lekarza, badającego puls i dającego przestrogi choremu. Śmierć naturalna nie potęguje bardzo siły dramatycznej, więc ją autor stara się podnieść szeregiem efektów. Wyobraźmy sobie taką scenę: w niszy na łożu uroczyście ubranem zarysowuje się przy bladem świetle lampy nocnej ładny profil martwej Klary. Wilhelm po pierwszym krwotoku otrząsa się z omdlenia i z chustką przy ustach, z dogasającem życiem w piersiach, usiłuje ten profil utrwalić na płótnie; siły odmawiają posłuszeństwa, pada i umiera z okrzykiem: „chcę żyć, chcę pracować!“ Skąd taka chęć w chwili konania do pochwycenia rysów niezwykłego modelu i to zaraz po gwałtownem wstrząśnieniu moralnem na widok zmarłej? Prawda, że odrodziła mu uczucia i dodała zachęty do innego życia jego narzeczona, Katarzyna, siostrzenica Ady. Ale to nastąpiło bardzo szybko, prawie w dzień śmierci bohatera. Owa istota, wychowana na bagnisku, śród zepsucia i cynizmu, wychodzi zwycięzko z otoczenia nawskroś zdemoralizowanego. Posiada cechy osiemnastoletniej „naiwnej,“ a pomimo to umie rozpoznać i ocenić grunt, na którym wyrosła; może dlatego nie staje się ofiarą lwów salonowych, jak typowa naiwna Klara. Wilhelm za późno poznaje te jej zalety, o których przedtem powątpiewał; śmierć nie pozwala mu stworzyć kapłanki ogniska rodzinnego i w jej cnocie obmywać się od czasu do czasu z grzechów bohaterstwa samczego.

Sztuka Sudermana mało posiada postaci szkicowych; nawet te, które się tylko przesuwają przez scenę, są wydatne. Równie zwracają uwagę sympatyczni staruszkowie; targający resztki życia w pracy dla jedynaka — Wilhelma, jak i spekulant giełdowy, mąż Ady, albo lowelas z nosem i czołem pokiereszowanem w przygodzie miłosnej. W całym dramacie niema typowych wiązadeł, używanych przez autorów francuskich, ani nadzwyczajnych skoków w pomysłach dla ożywienia wątku i rozgorączkowania widza. Akcya płynie zwyczajnie, podobnie jak w życiu, np. chwila, gdy się Wilhelm oświadcza Klarze za nieśmiałego przyjaciela i wyzyskuje położenie na własną korzyść.

Wogóle sztukę wystawiono bardzo starannie, zarówno pod względem dekoracyjnym, jak i wykonawczym. Godnem uwagi jest to jeszcze, iż wszyscy artyści otrzymali odpowiednie dla siebie role, co wpłynęło bardzo korzystnie na ich odtworzenie. Pan Ładnowski, jako Wilhelm, mniej był suchotnikiem, ale za to posiadał dużo w sobie życia i zapału, panna Marcello wycieniowała postać Ady, a p. Czakówna wiernie pochwyciła rysy panny z pozoru naiwnej a w gruncie rzeczy rozumiejącej doskonale wszystko o czem wychowanie towarzyskie do czasu nie pozwala jej wiedzieć; p. Trapszówna pięknie odtworzyła freblówkę Klarę; mało słów w roli, a dużo uczucia i szczerości w jej wykonaniu; p. Kotarbiński był wielce charakterystycznym Kramerem, p. Rakiewiczowa (matka Wilhelma) p. Ostrowski (ojciec), p. Rapacki, jako przyjaciel starych usiłujący nawrócić ich jedynaka na drogę cnoty, wreszcie pp. Prażmowski, Leszczyński i inni, odtwarzający grupę stałych gości Ady, złożyli się na dobrą całość.

Zenon Pietkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Wydział lekarski. — Ernest Brücke. — Jubileusz profesora Alberta i wykład jego o przeszłości i przyszłości medycyny. — Reorganizacya studyów lekarskich w Wiedniu.

Minął czas, kiedy wiedeński wydział lekarski był pierwszą w świecie szkołą. Dawniej student medycyny, przybywszy do Wiednia, słuchał anatomii u Hyrtla, fizyologii u Brückego, patologii powszechnej u Rokitańskiego, a patologii specyalnej i terapii u Skody, Schuha, Arlta. Z prawdziwą dumą po ukończeniu fakultetu mógł rzec: jestem wychowańcem szkoły wiedeńskiej. Ze świetnego szeregu mistrzów znika jeden po drugim. Świeżo zmarł Ernest Brücke, słynny fizyolog, który niedawno ustąpił z katedry i poświęcił się całkowicie studyom estetyczno-anatomicznym. Należał on do owego grona pierwszorzędnych przyrodników niemieckich, które wyszło z pracowni fizyologicznej Müllera. Kolegował z Helmholtzem i Du-Bois-Reymondem. Wielostronność jest główną cechą tych uczonych. To też Brücke, znany w szerokim świecie jako fizyolog, pracował z niemniejszem powodzeniem na innych polach. Jako młody człowiek zwrócił na siebie uwagę świata uczonego pracą anatomiczną o oku ludzkiem. Znaną jest jego obserwacya, której okulistyka zawdzięcza wynalezienie zwierciadła przez Helmholtza: on bowiem pierwszy zauważył refleks, bijący z oka przy pewnem oświetleniu, a zauważył go u Du-Bois-Reymonda, przestępującego próg pracowni Jana Müllera w chwili, w której Brücke ją opuszczał. Z Królewca powołany został do Wiednia i tu rozpoczęła się wielka epoka jego odkryć, dokonanych dzięki rownomiernej znajomości metod anatomicznych, fizyologicznych i chemicznych. On pierwszy w pepsynie odkrył trawiącą substancyę żołądka, a z słynnego w swoim czasie sporu pepsynowego wyszedł zwycięzko. On pierwszy rozłożył delikatne części składowe mięśnia na jeszcze drobniejsze, niezliczone i zauważył, że te rozszcze-

piają padający na nie promień słoneczny. Jemu, obok Virchowa, przypada zasługa rozpoznania procesu krzepnięcia krwi. W dziedzinie chemii wynalazł znakomite metody wykazywania cukru w płynach.

Lecz i po za granicami nauk ścisłych Brücke wystąpił ze świetnemi pracami. Znana jest jego próba nowego pisma fonetycznego. W r. 1856 ogłosił niemniej znakomitą rozprawę lingwistyczną. Obdarzony żywym zmysłem dla piękna, pozostawał w ścisłych stosunkach z artystami i w ciągu całej swej karyery naukowej zwracał uwagę na przyczyny piękna barw i kształtów. Lecz kiedy przyjaciele jego czuli tylko to, co piękne, a co brzydkie, uczony przyrodnik pouczał ich o fizyologicznych i anatomicznych przyczynach wrażeń artystycznych. Wyznał sam, że była to najbardziej ulubiona dlań dziedzina badań; a ustąpiwszy ze stanowiska profesora, ogłosił w ubiegłym jeszcze w ubiegłym roku małą, lecz znakomitą pracę „O piękności i błędach postaci ludzkiej,“ wykazującą gruntowną znajomość historyi sztuki. Ostatni raz odezwał się w ocenie książki monachijskiego estetyka Hirtha o zadaniach fizyologii sztuki w *Allgemeine Zeitung*.

Brücke pochodził z Niemiec północnych. Słuchacze jego poznawali to odrazu po akcencie, którego nie zmienił mimo długoletniego pobytu w Wiedniu i po suchości, cechującej jego wykład. Lecz o ile zewnętrznie nie pozbył się cech pruskich, o tyle wewnętrznie zaasymilował się z żywiołem południowo-niemieckim. Wiedeń, przesiąknięty żywiołem artystycznym, przedstawiał najmilszą dlań atmosferę.

Dziś w dziedzinie nauk medycznych występuje coraz energiczniej duch specyalizacyj; jest to poniekąd ambicyą naukową profesorów trzymać się najściślej pewnych granic. Nie potrzebuję zaznaczać, że nie dzieje się to z korzyścią dla słuchaczów, którzy w ten sposób żadnej niemal nie mają sposobności do zapoznawania się z kierunkami wytycznymi nauki i ze stanem jej całokształtu. Żeby się coś o tych dziełach dowiedzieć, czekać muszą na sposobności niezwykłe, na otwarcie kongresu hygienicznego lub na jubileusz któregoś ze świeczników fakultetu. Przy takiej to sposobności w dniu swego jubileuszu doktorskiego, profesor Albert wygłosił wobec świetnego audytoryum pracę o rozwoju medycyny w ostatnich 25 latach i o hygienicznych zadaniach przyszłości. Dawniejsza medycyna — według niego — wychodziła z dwóch mylnych założeń: 1) że należy każdą chorobę leczyć bezzwłocznie, używając stosownych środków; 2) że w razie wyzdrowienia lekowi przypisać należy skutek szczęśliwy. Skoda pierwszy wykazał w wypadkach zapalenia płuc, że choroba ta ustępuje nawet nieleczona. Podobne doświadczenia poczyniono potem w zakresie wszystkich innych niemal chorób wewnętrznych. Tym sposobem obalono całkowicie dawną medycynę, a na jej miejscu postawiono naukę o chorobach (anatomię patologiczną, badania chemiczno-fizyologiczne, obserwacyę kliniczną itd.). Lekarz nie miał teraz leczyć, lecz postawić dyagnozę, oraz przypuszczalną prognozę, usuwać wpływy szkodliwe i pomagać siłom organizmu ludzkiego.

Lecz już przed 25 laty wystąpiły początki nowej nauki, medycyny przyszłości. Partein wykazał, że w powietrzu unosi się olbrzymia ilość zarodków patologicznych, Lister odkrył postępowanie antiseptyczne w dziedzinie chirurgii i dowiódł tym sposobem, że można zwalczać bakterye. Dało to pochop do głębszych studyów nad drobnoustrojami (Koch). Dla medycyny otwiera się tedy dziś zadanie pozytywne, któremu ona w zasadzie podołać może. Dawna była mitem, nowsza była umiejętnością, przyszła będzie prawdziwą sztuką leczniczą.

Tym trzem fazom rozwojowym odpowiada też zmiana zawodu lekarskiego: w pierwszej epoce był to istotnie awanturniczy nieco przemysł, w drugiej—stan uczonych, w trzeciej zaś będzie — urzędem. Obok reorganizacyi ekonomicznej i reformy etycznej, nastąpić musi przekształcenie stosunków zdrowotnych. Lekarz musi zostać urzędnikiem państwa, gdyż człowiek, zadowolony ekonomicznie i uszlachetniony moralnie, jeżeli nie cieszy się należytem zdrowiem, nie będzie szczęśliwy. Cokolwiek odkryje medycyna przyszła, na razie głównem zadaniem państwa powinno być rozpowszechnienie wiedzy hygienicznej. Lud, mieszkający w najustronniejszych wsiach, powinien wiedzieć, że dzieci cierpiące na błonicę należy odosobnić, że suchotnicy nie powinni się żenić, że alkohol niszczy ludzkość. Mimo wszelkiej zachęty do czytania książek przyrodniczych, poziom wykształcenia ogólnego w tej dziedzinie nie podniesie się, zanim państwo nie użyje odpowiednich środków.

Dla nowych celów medycyny należy przygotować lekarzów. Niezbędna jest reforma porządku studyów i egzaminów. Obecnie właśnie fekultet pracuje nad tą reformą i przedstawił już ministeryum projekt reorganizacyi nauk medycznych. Projekt ten zawiera dwa punkty doniosłe: znosi dotychczasowe wstępne egzamina z zoologii, botaniki i mineralogii, które powodowały stratę całego roku, wciąga natomiast w zakres przedmiotów obowiązujących hygienę i pewne wykłady kliniczne, dawniej zaniedbywane.

Stwosz.

„WSPÓŁSĄSIEDZTWO.“

(Neighbourhood guilds).

W miarę upadku panowania wyłącznego Anglii na rynku wszechświatowym, zaczynają tam zmartwychwstawać wśród warstw ludowych krańcowe ruchy polityczno-klasowe, porzucające nadzieję polepszenia bytu drogą samopomocy, a usiłujące zorganizować systematyczne oddziaływanie na maszynę państwową. Jednocześnie, jak wtedy, kiedy czartyzm znajdował się u szczytu potęgi, występują ze strony zachowawców liczne próby przeciwdziałania temu prądowi klasowemu, usunięcia niechęci niższych warstw społeczeństwa przeciwko zamożnym jego członkom i obudzenia znowu ufności do prywatnej samopomocy ekonomicznej. Kilkakrotnie dotykaliśmy już w *Prawdzie* niektórych objawów tej działalności zachowawczo-społecznej, mówiąc o sławnej wyprawie inteligencyi angielskiej do ubogich dzielnic wschodniego Londynu wraz z jej „koloniami uniwersyteckiemi“ i „klasztorami społecznymi,“ oraz o tego rodzaju urządzeniach, jak otwarty w obecności królowej Wiktoryi „Pałac pracy.“ Zaznaczaliśmy zresztą jedynie próby udatniejsze, pomijając inne. Ktoś np. dla odwrócenia uwagi wyrostków od spraw politycznych, wytworzył bezpłatną szkołę boksowania, która naturalnie cieszyła się olbrzymim napływem kandydatów, ale nie zdołała przełamać zawiści klasowej, która pozostała wzmocniona umiejętnością używania pięści. Dzisiaj do dawniejszych przedstawionych usiłowań oddziaływania zachowawczego winniśmy dodać nowe, znane pod nazwą gildyj, albo lepiej stowarzyszeń sąsiedzkich — *neighbourhood guilds*. Rozwinęły się one przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych: w New-Yorku, Filadelfii, Brooklynie i in. W Anglii nie przekroczyły dotychczas granic północnego Londynu, gdzie skupiają się około „kolonii uniwersyteckiej“ w Leighton Hall.

Inicyatorem tego nowego urządzenia jest Stanton Coit. Osoba to niezwykle ruchliwa. Doktór filozofii i profesor etyki, stoi oddawna na czele „ruchu etycznego“ i napisał w tym przedmiocie dzieł kilka. Kiedyś, przez wiele miesięcy był czynnym członkiem „kolonii uniwersyteckiej“ w Toynbee-Hall, usiłując zapoznać się tu z umysłowością ludu i środkami zyskania jego ufności. Podczas swego pobytu zwątpił o donioślejszych skutkach „kolonij“ i „klasztorów“ z powodów natury finansowej, gdyż wszystkie te „pałace pracy,“ „kolonie uniwersyteckie“ itd. wymagają bardzo znacznych środków pieniężnych. Powziął wtedy myśl zakładania „gildyj pomiędzy sąsiadami.“ Pierwszą próbę przedsiębrał w New-Yorku, w otoczeniu zresztą mało sprzyjającem, bo pomiędzy wychodźcami najrozmaitszego pochodzenia. Gildya ta założyła sobie następujące cele: zachętę w kierunku zrzeszonej samopomocy, budzenie uczuć przyjaźni i sympatyi śród ludzi, podnoszenie i doskonalenie smaku estetycznego i zwyczajów warstw ludowych, przeciwdziałanie wszelkim czynom niesprawiedliwym i wyrabianie ofiarności w kierunku dobra ogólnego. Jej zaś hasłem stała się reguła: „naszą podstawą jest porządek, celem — polepszenie bytu, zasadą — przyjaźń.“ Na wzór newyorskiej utworzono podobno gildye w innych miejscowościach Stanów Zjednoczonych. Wreszcie wróciwszy do kraju Coit założył instytucyę tego samego rodzaju w Londynie. Istnieje ona już od lat trzech. Przed skreśleniem jej rzeknięmy słówko o poglądach społecznych samego inicyatora, gdyż są one kluczem do zrozumienia owych gildyj. Usiłuje on wznieść się po nad wszelkie „jednostronności“ i „czerstwości“ partyjno-polityczne. Nietylko nie rozumie znaczenia, jakie posiada w życiu społecznem zorganizowanie jakiejkolwiek warstwy w partyę polityczną dla obrony swoich interesów, lecz wprost czuje wstręt ku „politykomanom“ i „szarlatanom politycznym.“ Zwłaszcza demokracye społeczne mają w nim zawziętego wroga, jako pragnące wszystkie siły warstwy najemnickiej skierować na tę drogę. Przeciwnie Coit zamiast haseł partyjno-politycznych wysuwa doskonalenie się moralne i, że tak powiem, hodowlę ducha współczującego. „Wszystkie nasze ideały i zamiary są istotami zimnemi, abstrakcyjnemi, jak gdyby pozbawionemi krwi, a przynajmniej siły, niepodobna ich słyszeć, czuć lub widzieć, są one bez rąk i nóg, oczu i języka.“ Otóż wprowadzenie do życia ludu pierwiastków moralności i współczucia da ową krew, członki i zmysły. Jest to najpierwsze zadanie, i dopiero na tym gruncie można pomyśleć o wzniesieniu czegoś trwalszego. Zresztą sądzi on, że wszelkie ogólno-społeczne polepszenie bytu może następować zwolna i w sposób ewolucyjno-pokojowy, w miarę tego, jak pierwiastki moralne będą głębiej zapuszczały swoje korzenie, a tłumy drogą samopomocy wdrażały się do wymagań solidarnego pożycia społecznego.

Przejdźmy teraz do rozpatrzenia samych stowarzyszeń pomiędzy sąsiadami, którym Coit przypisuje właśnie siłę umoralnienia tłumów. Polegać one winny na wzajemnem połączeniu się rodzin, żyjących na tej samej ulicy lub na kilku poblizkich, dla przepędzenia wolnego czasu towarzysko w osobnych resursach i klubach oraz współdziałania zbiorowego w kierunku kształcenia się i zabawy. Zresztą mamy w „współsąsiedztwie zorganizowanem“ poprostu rozszerzenie kooperacyi rodzinnej. Jak w rodzinie pojedynczej różne płcie i wiek znajdują się w nieustającem zetknięciu duchowem, nie zakładając sobie jakiegoś jednego tylko celu: ekonomicznego, wychowawczego itd., lecz dążąc do osiągnięcia wszystkich, to samo winna czynić „gildya“ i ku temu samemu zmierzać, opierając się na zrzeszonej współpomocy. Coit marzy, że z czasem różne ulice miasta połączą się w jedną gildyę miejską, miejskie zaś — w krajową. Zresztą dzisiejszym gildyom, istniejącym w bardzo nieznacznej liczbie, nie chodzi jedynie o zabawę i oświatę. Wkraczają one też w dziedzinę potrzeb i za-

jęć materyalnych. Zakładają kooperacyjne składy węgla kamiennego, kupując go w sierpniu, kiedy bywa najtańszy, i w ten sposób usuwając pośredników. Chcąc oszczędzić kobiecie trudów, tak nieprodukcyjnie dzisiaj ponoszonych, powołują one do życia kuchnie kooperacyjne. Najmują pod miastem osady, do których latem wynoszą się rodziny stowarzyszone, aby kolejno przebyć choć kilka tygodni na świeżem powietrzu. Nadto członkowie wciąż pomagają sobie w mnóstwie drobiazgów życiowych, czego nie widzimy wśród zwykłego odosobienia rodzin — np. wyszukują zajęcie dla współtowarzyszów, którzy je utracili, umieszczają chorych w szpitalu, najmują wspólnego adwokata, doktora, aptekarza, zyskując odpowiednie ulgi. Jeden z członków gildyi londyńskiej zachorował niebezpiecznie. Sąsiedzi natychmiast zebrali składkę i wezwali jednego z lepszych lekarzy, sąsiadki zaś podczas całej choroby nadsyłały mu napoje i jadło; wreszcie kiedy miał już wychodzić ze szpitala, urządzono na jego korzyść wieczorek, na którym zebrano 10 funt. ster. — mniej więcej tyle, ile stracił z niemożności zarobkowania. Sąsiad rzadko bywa bez zajęcia dłużej nad 4—5 dni, gdyż współczłonkowie gildyi na wszystkie strony szukają dlań miejsca.

Drobne te a codzienne usługi wzajemne nadzwyczaj silnie wiążą „sąsiadów“ pomiędzy sobą i zacieśniają węzeł przyjaźni. Gdzieniegdzie przy gildyi istnieją schronienia dla dziewcząt i wyrostków, nieposiadających rodziny lub z jakiegoś powodu niemogących żyć przy niej. Przy urzędowym lokalu każdego związku pomiędzy sąsiadami istnieją: biblioteka, czytelnie, lekcye, lutnie, systematyczne wykłady (niekiedy do 20 przedmiotów), zabawy, koncerty. Podstawą organizacyi są tak zwane kluby, których zwykle jest 5—6. Klub zawiera w sobie każdorazowo rówieśników tej samej płci. Coit bowiem sądzi, że jedynie osoby mniej więcej równego wieku stanowią normalny zastęp do współżycia i współzabawy. A zatem mamy naprzód klub chłopców 12—17 letnich, posiadający znaczny stopień samodzielności i oparty na wspólności upodobań w zabawie, kształceniu itd.; drugi, żeński, składa się z dziewcząt w odpowiednim wieku, a prócz rozrywek ma na celu przyuczanie ich do zajęć i robót domowych. Podobnie mężczyźni młodzi i kobiety stanowią nowe i niezależne od siebie kluby, a także ojcowie i matki rodziny. Przytem urządzenie jest tego rodzaju, że klub wyrostków w miarę dojrzewania zamienia się na klub starszy i istnieje nadal w tym samym składzie. Każdy z owych klubów kolejno korzysta z lokalu współsąsiedztwa i w nim odbywa swoje zebrania. Gmachy współsąsiadów w Londynie zawiera 8 pokojów i jedną olbrzymią salę. Dwa razy tygodniowo członkowie wszystkich klubów zbierają się razem na ogólną zabawę. W soboty urządzane są zwykle tańce, niekiedy koncerty, na których popisują się amatorzy z istniejących przy gildyi lutni najrozmaitszego rodzaju, to znowu odbywa się odczyt. Rozmiary klubu pojedynczego są zakreślone wielkością lokalu, stowarzyszenia pomiędzy sąsiedami trzymają się bowiem tego zdania, że wszyscy powinni mieć możność zbiorowego spotykania się jednocześnie i zaznajamiania. Samo utrzymanie związku takiego i zebranie środków pieniężnych odbywa się drogą opłat ze strony członków, młodzi wnoszą po 2 pensy tygodniowo, starsi 3 (pens wynosi obecnie mniej więcej 4 kop.), nadto pobiera się wchodne na większe zabawy, zresztą bardzo skromnych rozmiarów. Jeżeli np. weźmiemy Leighton Hall w Londynie, współsąsiedztwo tutejsze składa się z 400 członków i ma dochodu rocznego około 270 funt. st., co zupełnie wystarcza na potrzeby.

Tak przedstawia się szkielet „współsąsiedztwa.“ Wypada nam zatrzymać się jeszcze nad jego zadaniami zachowawczo-społecznemi. Otóż w rozumieniu Coita, jako płód współdziałania różnych warstw niższych społeczeństwa, tem samem winno ono tępić odosobnienie klasowe. Przedstawiciele rozmaitych odłamów ludności pracującej, a więc najmita i sklepikarz, rzemieślnik i drobny kapitalista i urzędnik schodzą się razem i w pogawędce ścierają wzajemne krańcowości: robotnik widzi, iż kapitalista nie śpi na różach, i dowiaduje się, w jakim stopniu krzywdził go swojemi posądzeniami. Zamiast wroga klasowego, poznaje w nim człowieka, bliźniego; zamiast zawiści klasowej, zjawia się sympatya ogólno-ludzka. W dalszym ciągu zorganizowanie „współsąsiedztwa“ odebrać może grunt „bakteryom społecznym,“ tworzącym różne kluby polityczne i w nich czerpiącym soki dla swego istnienia. Dzięki nim, człowiek przestaje widzieć w bliźnim człowieka i widzi jedynie zachowawcę, liberała lub radykała, nienawidząc go fanatycznie, „Gildye“ przyjmują do siebie osoby najrozmaitszych przekonań politycznych i zbliżają z sobą; podobnie trzymają się najzupełniejszej tolerancyi w zakresie poglądów religijnych. Lecz przedewszystkiem inicyatorzy idei „współsąsiedztwa“ zorganizowanego kładą olbrzymi nacisk na znaczenie zachowawczo-społeczne tego faktu, że gildye nie odrywają człowieka od rodziny, tej, zdaniem Coita, najistotniejszej i najważniejszej komórki moralnej społeczeństwa, lecz przeciwnie wzmacniają moc związku rodzinnego nowemi spójniami. Kluby polityczne i inne wyrabiają pewne pojęcia i zapatrywania nietylko zupełnie obce, lecz wprost wrogie solidarnemu pożyciu duchowemu rodziny. Ludzie żyjący pod jednym dachem, lecz tylko po to, żeby zaspakajać swoje potrzeby fizyczne, tymczasem pomiędzy nimi niema najmniejszego związku duchowego i każdy patrzy w inną stronę. Zorganizowane współsąsiedztwo nie dopuszcza powstania takiej przepaści duchowej, wytwarza bowiem jednakie widnokręgi duchowe dzięki przebywaniu wśród tego samego otoczenia u wszystkich członków rodziny, nie rodzi nieprzejednanego rozszczepienia pomiędzy dążnościami społecznemi jednych a zamknięciem w ciasnych ścianach mieszkania innych. Nadto Coit mniema, że do zorganizowanych współsąsiedztw mogą z łatwością wchodzić też ludzie warstw zamożniejszych i swoją bytnością jeszcze więcej pomagać złagodzeniu zawiści i klasowości społecznych. Wreszcie wykazuje ludziom możność osiągnięcia mnóstwa przyjemności i pożytku drogą samopomocy zrzeszonej i przeciwdziała szerzącemu się obecnie wśród warstw ludowych poglądowi, iż byt można polepszyć jedynie za pośrednictwem maszyny państwowej.

Poprzestajemy na zupełnie przedmiotowem przedstawieniu tego nowego prądu. Żółtodzióbkom radykalnym, żyjącym w krajach nieposiadających odpowiedniego doświadczenia dziejowego, może się on wydać niezwykle pięknym, albowiem opiera się na „kooperacyi,“ „zrzeszeniu“ itd. W Anglii jednak inaczej o tem sądzą. Pierwiastki kooperacyjne wżerają się tam w życie na każdym kroku, tak iż ich obecność w jakimś prądzie zupełnie nie rozstrzyga o jego charakterze. Współsąsiedztwo z pewnemi małemi zmianami mzgłoby iść w parze nietylko z zachowawczością, jak to widzimy w próbach utworzenia „swobodnej sceny“ w Niemczech. Zachowawczość jego polega na tem, iż kiedy zachowawcy uważają zakładanie współsąsiedztwa jako cel jedyny, co więcej, czynią z niego warownię samopomocy prywatnej i taran do rozbijania polityki klasowej, a nadto zyskują w niem kazalnicę do przeciwstawiania doskonalenia moralnego organizowaniu klasowemu, przeciwnicy uznaliby w tem urządzeniu bardzo podrzędny środek rozwoju społecznego, raczej widownię wyładowywania się uczuć towarzyskich. Nie współsąsiedztwo samo, lecz sposób jego użycia i przypisywane mu znaczenie stanowią o jego naturze.

K. R. Ż.

PAMIĘTNIK.

Z pałaców do chatek.

„Z pałaców sterczących dumnie zeszła luba do naszej chaty.“ Stało się to zaś na licytacyi w Spółce artystycznej. Malarze nasi, często pomimo chłodu i głodu niedopuszczający, ażeby ich sztuka zeszła do chat ogółu z pałaców, przed którymi pozwalali tylko jej wielbicielom grać miłosne pieśni na gitarach złotostrunnych, zaczęli swoją dostojną damę trochę demokratyzować. Na licytacyi w Salonie artystycznym sprzedawano szkice i obrazy po kilka i kilkanaście rubli. Czy kto dawniej słyszał coś podobnego! W najfantastyczniejszych snach ziemianin, urzędnik, literat nie marzyli, ażeby mogli sobie do ozdobienia ścian kupić „oryginał“ krewniaka Apellesa z najboczniejszej linii. Fotografia, oleodruk, sztych pośledni — oto była sztuka plastyczna dla „inteligentnych klas społeczeństwa.“ Arystokraci, bankierzy, wielcy przemysłowcy i kupcy — jedynie ci Don Żuanowie, grający na złotych strunach, zwabiali muzę do siebie. Jeżeli dziesięciorzędowy malarz zamazał ołówkiem serwetkę papierową przy czarnej kawie w cukierni, najbliższy ze znajomych zabierał ten klejnot i był przekonany, że mógłby go spieniężyć na wagę złota. Artysta, namalowawszy obraz, podpisywał pod nim na wystawie bajeczną cenę, czekał i próżnował; ponieważ zaś każdy dzień odpoczynku po porodzie musiał być zapłacony, więc należało oszacować płótno tak, ażeby ono pokryło wydatki długiego wyczekiwania. Publiczność przechodziła przed rzędami owych setek i tysięcy rubli, jak przed sklepami jubilerów, myśląc tylko o tem, ilu też jest na świecie mogących sobie pozwolić podobnego zbytku. Przed kilku laty już sprzedaże szkiców, a zwłaszcza obecnie licytacya w Salonie artystycznym postawiła przed oczami zdumionego ogółu fakt możliwości nabycia dzieł pędzla za przystępną dla zwykłych śmiertelników cenę. Dowiedział się on, że ludzie, nienoszący złotych guzików, mogą za kilka rubli kupić sobie obrazek. Jest to wypadek, który niezawodnie oddziała na stosunek publiczności do malarzów, tak często opłakiwany i wyszydzany przez nich. Licytacya bowiem, chociaż nierozgłoszona dostatecznie, zgromadziła wielu skromnych miłośników sztuki, którzy bez niej możeby nigdy nie nabyli ani jednego szkicu. Schodź częściej muzo z pałaców sterczących dumnie, a znajdziesz nasze chaty otwarte. *O.*

Coraz lepiej.

Naprzód pisma „dobrze poinformowane“ dowiodły nam, że filantropijne zapisy hr. Potockiej wynosza 50,000 rs.; potem, że 70,000. W zaprzeszłym tygodniu upominki jednorazowe dla oficyalistów i sług miały „pochłonąć 350,000 rs.,“ w minionym już ta suma — według *Niwy* — dojdzie do 500,000. Poczekajmy jeszcze kilka tygodni, a z owych dobroczynnych tysięcy powstaną miliony, ich zaś rachmistrze wyliczą, że hr. Potocka żadnemu z bogatszych arystokratów nie dała nawet na pudełko Havana i cały swój majątek rozdarowała instytucyom publicznym i ubogim. *Niwa* już dziś nawet twierdzi, iż utrzymując, jakoby olbrzymia fortuna hr. Potockiej powiększyła *li* (to *li* jest dodane przez nią dla wzmocnienia swej racyi) bogactwa milionerów, nie tylko minęliśmy się z prawdą, ale „wyrządziliśmy krzywdę zmarłej.“

Spór o tym przedmiocie wobec wysuwanych coraz nowych cyfr i obliczeń byłby

grą w ślepą babkę — i dlatego przerywamy go i pozostawiamy ową „krzywdę“ w zawieszeniu do czasu, kiedy jakaś pewność położy koniec magicznym sztukom z cyframi testamentu. Przecie będzie chyba zrobiony jakiś inwentarz, będzie opłacony jakiś podatek spadkowy, wtedy może uzyskamy podstawę do obrachowania hojności w obu kierunkach: magnackim i filantropijnym. *Wł.*

Nowy bohater.

Pisma, urozmaicające swój tekst obrazkami, zamieszczają kolejno wizerunek hr. Ksawerego Branickiego. Dotychczas nic o tym panu nie słyszeliśmy, i on sam zapewne nie znajdował powodu przypominania się ogółowi i występowania na widok publiczny. Był wprawdzie posiadaczem obszernych włości, ale to jeszcze w Europie nie jest tytułem do chwały. Pierwszym czynem, który go w oczach prasy naszej rozsławił, było... odziedziczenie kilkunastu folwarków w kluczu wilanowskim po hr. Potockiej. Jeżeli hr. Branicki jest człowiekiem rozumnym — co chętnie przypuszczamy — to patrząc na swoje portrety, przekazywane potomności, musi pytać zdumiony: czego te pismaki ode mnie chcą? Czy sądzą może, że im coś z mojego spadku ustąpię, albo że z nimi będę jadał w restauracyach kolacyjki literackie? Pozostańmy na swoich drogach i swoich miejscach. *K.*

Lekcya poglądowa.

P. Dygasiński zamieścił w *Kuryerze warsz.* obrazek satyryczny „Nr. 607,“ w którym pod bardzo przejrzystą zasłoną wydrwił jeden z prywatnych zakładów naukowych w Warszawie. Szkoła ta — według niego — wytworzyła cały system śmiesznej chińszczyzny, dba przedewszystkiem o regulamin dzwonkowy, głodzi pensyonarzów, gnębi karami uczniów itd. itd. Aristofanesowi, który wyszydził bohaterów Grecyi, przebaczono niesprawiedliwość, bo był Aristofanesem i w swych komedyach dał literaturze arcydzieła. Ponieważ p. Dygasiński nawet w najsłabszem podobieństwie Aristofanesem nie jest, a tym razem więcej okazał nierozwagi i — jak zwykle — pośpiechu, niż talentu, nie potrzebujemy więc nad tym jego „numerem“ zastanawiać się jako nad utworem sztuki, rozgrzeszającej tendencyę, ale jako nad artykułem upowieściowanym. Otóż każdy ojciec, posyłający swego syna do wyśmianej szkoły i znający ją dobrze, wie, że w twierdzeniach p. D. tkwi dużo nieprawdy i przesady. Nie jest ona i być nie może doskonałym modelem, ale jest pod wielu względami wzorową i prawdziwie europejską, a stanowczo u nas najlepszą. I właśnie przeciw tej szkole p. D. zwrócił się nie ze sprawiedliwą krytyką, ale z szykaną. I jakiż skutek osiągnął? W paru pismach wywołał oburzenie a malcom wydrwionego zakładu dał lekcyę poglądową szykany i dostarczył im szeregu konceptów i przezwisk, z których oni już robią niepożądany użytek. A dodać należy, że tym smutnym wawrzynem ozdobił się pedagog. Nie osądzimy go tą metodą, jakiej on użył, i przypuścimy, że nakreślił swój obrazek bez należytej świadomości jego skutków. Był to wybryk lekkomyślny, którego pisarz dojrzały i pedagog ustrzedz się był powinien, tem bardziej, że kiedyś gromił nas za pomieszczenie ostrej oceny utworów p. Zapolskiej. Kto umie być tak surowym względem innych, niechże czuwa i nad sobą. Chociażby nawet p. Zapolska była dla swych obrońców instytucyą społeczną, instytucya to mniejszej wartości, niż dobra i umiejętnie prowadzona szkoła prywatna. *P.*

Kasa kolejowa.

Zanim zwinięta kasa emerytalna przy kolei Terespolskiej zamieniona zostanie na refektarz, w którym karmić się będą zakonnicy dawnej reguły, skazani na wymarcie, dopóki im starczy zapasów, położono fundamenty pod nową z charakterem oszczędnościowo-zapomogowym. Nadzwyczajne zebranie akcyonaryuszów drogi przyjęło projekt ustawy, który przedstawiony będzie do zatwierdzenia ministra komunikacyi. Ponieważ mogą w nim zajść liczne zmiany, nie podajemy tu obszernej jego osnowy, zwłaszcza że według świeżych wieści kolej Terespolska ma przejść w posiadanie rządu. Co do kasy dawnej, to obecnie dokonywa się jej likwidacya, a dopiero jej wynik okaże, o ile zaspokojone będą związane z nią prawa i nadzieje. Przedewszystkiem zabezpieczone być mają przywileje emerytów, czy zaś co pozostanie dla urzędników dotąd przebywających w służbie — nie wiadomo. Byliby oni bardzo zadowoleni, gdyby przynajmniej uratowali swoje składki emerytalne — bez procentów i dopłat ze strony Towarzystwa — przedstawiające dla wielu dość poważne sumy. Jest to jednak podobno baodzo wątpliwe, i urzędnicy z kilkunastoletnią nieraz wysługą będą musieli ją rozpocząć na nowo.

Towarzystwo ogrodnicze.

Niewiele stowarzyszeń może u nas poszczycić się tak szybkim i tak dodatnim wpływem na społeczeństwo, jak Towarzystwo ogrodnicze. W krótkim stosunkowo czasie zdołało ono dać tyle pobudek, wytworzyć tyle dobrych chęci i tak dalece przełamać obojętność dla tej dziedziny gospodarczej, którą swem zadaniem ogarnęło, że w klasycznym kraju zamierania wszelkich takich instytucyj trudno było oczekiwać lepszych rezultatów. Jeżeli więc szanowny prezes, dziekan Aleksandrowicz, narzekał podczas ostatniego zebrania dorocznego na powolne rozszerzanie się liczby członków, to wyrażał bardziej swoje szlachetne pragnienia, niż naganę dla ogółu. Zresztą skardze przeciwstawmy skargę drugiej strony. Towarzystwo zajmuje się gorliwie teoryą ogrodnictwa, ale nie wkroczyło jeszcze należycie na grunt praktyczny. Trzeba ludzi pociągać do pewnej pracy nietylko nauką i zachwalaniem jej, ale także interesem. Ten i ów ziemianin lub posiadacz kawałka ziemi radziby hodować owoce, warzywo i nasiona, ale naprzód nie mogą drogo opłacać ogrodników wysoko ukształconych i muszą trzymać zwyczajnych a powtóre nie mają gdzie zbywać produktów. Jeśli tedy Towarzystwo pragnie szerzej uprawić ten nasz odłóg gospodarczy, powinno umożliwić chętnym przejście z zupełnej bezczynności do pracy natężonej a przedewszystkiem rozwinąć swą działalność w dwu kierunkach: instrukcyjnym i handlowym. W pierwszym wyświadczy ono krajowi wielką usługę zapomocą odpowiednich wizytatorów. Wytłomaczymy się szczegółowiej. Najwięcej u nas jest sadów kilkomorgowych przy dworach wiejskich. Pozostają one pod dozorem ogrodników prostych, znających praktycznie swoje rzemiosło, ale niezdolnych szczupłą wiedzą nadać mu postaci umiejętnej, podnieść go sposobami, zaleconymi przez postępującą naukę. Niechaj więc ogrodnicy gruntownie ukształceni za określoną opłatą zwiedzają w pewnych odstępach czasu owo sady, wskazują w nich wady, braki i potrzebne ulepszenia, a takie wizyty wytykać będą drogę niewiedzącym lub niedoświadczonym i przyczynią się niezmiernie do rozwoju ogrodownictwa u nas. Druga kwestya dotyczy zbytu. Nie żądamy, ażeby Towarzystwo zamieniło się na spółkę handlową, lecz tylko, ażeby starało się wytworzyć jakiś prawidłowo zasilany rynek. Dotychczas hodowcy drobniejsi mają dla sprzedaży płodów ogrodniczych albo targi miejskie, nieuregulowane zupełnie, albo przekupniów żydów, którzy płacą za dzierżawę sadów, ile im się podoba i niszczą je niemiłosiernie. Pp. Jankowski, Kaczyński, Hoser itd. rozszerzyli wiele światła, ale tylko między słuchaczami swych pogadanek i czytelnikami swych książek, którzy zwykle nie umieją tej nauki zastosować praktycznie a zastosowawszy — wyciągnąć z niej korzyści. Dopóki zaś znaczna większość naszych ogrodów prowadzona będzie przez prostaczków, którzy wierzą, iż robactwo spada na drzewa z deszczem lub że podmierzwienie jest niepotrzebne, dopóki sprzedaż owoców stanowić będzie ciężki kłopot producenta, przemysł ten pozostawać u nas musi ciągle w niemowlęctwie. Co do ostatniego punktu Towarzystwo zrobiło już pewien krok staraniem, ażeby za Żelazną bramą w Warszawie wyznaczono osobne miejsce na targ owocowy; jest to wszakże krok bardzo maleńki.

Towarzystwo farmaceutyczne.

Na ogólnem zebraniu odczytano sprawozdanie z obrotu i stanu funduszów kasy wsparcia. Dochód ogólny wyniósł 1,952 rs., rozchód 396 rs. kop. 30 na administracyę, 135 rs. na wsparcia jednorazowe, 1,410 rs. na wsparcia w ratach kwartalnych, 150 rs. na zapomogi młodzieży kształcącej się, 30 rs. na pogrzeb, 277 rs. 60 kop. niedobór z roku zeszłego. Na rok bieżący niedobór wynosi 446 rs. 90 kop. Zbiory naukowe w końcu roku przedstawiały wartość 15,287 rs. 74 kop.; powiększono je zakupem najnowszych dzieł z dziedziny farmacyi i nauk przyrodniczych, oraz darami członków. Działy zbiorów: biblioteka zawiera dzieł 2,724 w 4,508 tomach, dział chemiczny liczy 1,542 okazów, farmakognozyjny — 1,044, farmacyjny — 244, botaniczny — 29,294, mineralogiczny — 2,207, fizyczny — 256, zoologiczny — 1,048 i gospodarczy — 346. W r. z. zaprojektowano składanie na rzecz „kasy wsparcia“ jeden procent od pobieranej pensyi. Wniosek ten, przyjęty z początku z zapałem, nie przyniósł pożądanych rezultatów; zaledwie kilku farmaceutów składało 1% od pensyi, inni trzymali się dawnej normy, najwięcej zaś było takich, którzy nie wnieśli. Stypendyów w roku sprawozdawczym Towarzystwo przyznało pięć (w sumie 240 rs.) słuchaczom farmacyi uniwersytetu warszawskiego, tudzież jednorazowych zapomóg w sumie 150 rs. sześciu słuchaczom. Ze względu, iż składki na stypendyum im. prof. Juliana Trappa słabo napływają, postanowiono corocznie z funduszów Towarzystwa do zebranych już pieniędzy dołączać po rs. 50 aż do utworzenia odpowiedniego kapitału. Odczyty i pogadanki naukowe na posiedzeniach miesięcznych miały na celu zaznajomienie członków z postępami nauki w dziedzinie farmacyi. Ogółem członków rzeczywistych Towarzystwa liczy 46, honorowych 85. Komitet w roku sprawozdawczym składali pp.: Henryk Klawe (prezes), Antoni Manduk (wiceprezes), Ignacy Habielski (kasyer), Herman Biertümpfel (bibliotekarz), Jan Rutkowski (sekretarz). Z mocy wyborów komitet pozostał nadal ten sam, z wyjątkiem p. Biertümpfla, którego zastąpił p. Jan Kuśmierski.

Leopold Matuszyński.

50 lat prześpiewać — nie bagatela! A takiego poważnego jubileuszu dosłużył w operze warszawskiej p. Matuszyński, którego uczczono osobnem przedstawieniem benefisowem (*Halka*). Nie należał on do „gwiazd“ pierwszorzędnych, ale pracował rzetelnie. Był to — że tak powiemy — śpiewak inwentarzowy, zawsze pożyteczny i do wielu użytków operowych przydatny. W ostatnich latach pozostawał już raczej na swem stanowisku jako doświadczony kierownik, nie jako artysta. Na chleb starości sumiennie zarobił.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ DOMOWY W GALICYI.

(Dokończenie).

W ostatnich latach stara się Wydział krajowy o dźwignięcie naszego przemysłu tkackiego w ramach następującego pro-

gramu: przez sprowadzanie wzorowych warsztatów oraz wędrownych nauczycieli podnosić technikę; przez organizacyę spółek (zaliczkowych, surowcowych i magazynowych); przez powołanie do życia krajowego zakładu blichu i apretury uczynić wyroby krajowe pokupnymi; przez organizacyę dróg zbytu. Wobec przemożnej konkurencyi fabrycznej stara się rząd odwieść przynajmniej szkoły od dalszej zabójczej walki domowego tkactwa ręcznego z mechanicznem. Główny ich zarząd słusznie mniema, że zadaniem tych szkół jest umożliwić za pomocą odpowiedniej nauki użycia maszyn przejście do tkactwa mechanicznego, a ręczne ograniczyć tylko do tej dziedziny, na której dotąd maszyna nie może mu sprostać, tj. do wyrobów artystycznych. Przemysł tkacki w Austryi, którego roczny wyrób oceniają na 167 milionów złr., zawdzięcza swoją zdolność współubiegania się z wyrobami zagranicznymi czujnej opiece rządu, oraz rozlicznym i bogato uposażonym szkołom. Przykro pomyśleć, że i nasz kraj, pozbawiony dobroczynnej opieki, wyparty od stołu powszechnej cywilizacyi, że i ten szmat ziemi, ubogi i wynędzniały, zniszczony i porzucony na pastwę losu, który także miał swoje rodzime, prastare tkactwo i niegdyś słał również swoje płótna po okolicznych ziemiach, dziś płacić musi przemysłowy haracz z braku odpowiednich środków pomocy.

W roku bieżącym ofiarnością miasta przy skromnej pomocy funduszu krajowego, stanął kosztem około 40,000 złr. obszerny budynek dla szkoły tkackiej w Krośnie, która pod kierownictwem dyrektora Gruszeckiego rozwija się pomyślnie, działając w dwóch kierunkach: wykształca bowiem nietylko uczniów i nauczycieli, ale zaopatruje inne zakłady we wzory i w ulepszone warsztaty, stając się w ten sposób macierzą wszystkich tkackich warsztatów naukowych w naszym kraju.

Czem szkoła krośnieńska dla tkactwa, tem garncarska w Kołomyi i lwowska stacya doświadczalna dla przemysłu ceramicznego.

Do programu prac roku przyszłego wchodzi nowa gałąź przemysłu: sukiennictwo. Komisya stawia wniosek założenia odpowiedniej szkoły w znanej starej osadzie Rakszawie. Na lichych piaskach osiadli, z roli swej niemający dostatecznych środków utrzymania — włościanie tamtejsi zdawna trudnią się sukiennictwem, wyrabiając tak zwane „sukno bernardyńskie,“ koce, derki itp. Lud to zdolny, do przemysłu „ciekawy,“ pracowity — trudno dziś przewidzieć, czy z tych początków rozwinie się u nas przemysł sukienniczy, to pewna, że jest on w wielu okolicach bardzo ważną gałęzią pracy ludu, że, jak tkactwo, zaczął już zamierać pod zabójczem tchnieniem miejscowego wyzysku i obcej konkurencyi, że zatem zastosowanie tutaj metody podobnej powinno również być skutecznem. Metodą tą jest: szkoła, spółka i opieka kół inteligentnych. Zawodowych szkół przemysłowych mamy ogółem niespełna 30, z tych najstarsza powstała niedawno, bo dopiero 1876 r.; uczniów było zaledwie 1,000. W roku bieżącym udzielono pożyczek w kwocie 150,000 złr., cały zaś budżet wynosi niespełna 200,000. Jest to stosunkowo dość poważny objaw. Kiedy przed 10 laty posłowie Romanowicz i Merunowicz w sejmie postawili wniosek zaopiekowania się nietylko przemysłem domowym, ale i rękodzielniczym, doradzali na pierwszy rok 10,000 złr., cyfra ta była wyrazem najwyższej... odwagi, na jaką wtedy zdobyć się było można. Sejm uznał to żądanie zbyt śmiałem — i zredukował je do 5,000 złr.

Niestety, zarządzają tymi funduszami władze autonomiczne, do których ludność w całym kraju straciła zaufanie. Oto jeden typowy przykład krajowej gospodarki w Tarnopolu. Gdyby kto nie znał zblizka rozgłośnej naszej stolicy Podola, nie chciałby zapewne dać wiary, że może istnieć tak zresztą pokaźne miasto, którego rdzeniem byłby jedynie stan urzędniczy i po trosze rolny. Prawdziwy przemysł we właściwem tego słowa znaczeniu ledwie tam istnieje, ale natomiast krzewi się inny rodzaj nigdzie tak nie wybujałego—fałszywego. Warto mu się bliżej przypatrzeć. Przemysł naszego miasta ogranicza się wyłącznie do rzemiosł, mających na celu zaspokojenie najpierwotniejszych potrzeb życia: pożywienia, odzienia i obuwia, a nieliczni rękodzielnicy skazani są na nędzny żywot. Lecz miasto nasze uszczęśliwia jeszcze jedna warstwa społeczna, utrzymująca się zawsze i wszędzie z pośrednictwa, zowiąc podobny tryb życia, w przeciwstawieniu do pracy i rzemiosła, przemysłem. Takich „przemysłowców“ mamy do 50% ogólnej liczby mieszkańców. Bez pośrednictwa nic obejść się nie może tak daleco, że nawet wieśniak okoliczny nie jest w stanie dowieść czy donieść nabiału lub drobiu, ażeby wpierw po drogach i rogatkach nie był zniewolony sprzedać wszystkiego. Wskutek tego na rynku nie ma prawie targu bezpośredniego, ale dopiero, gdy sobie faktorzy i faktorki za swoją usługę doliczą prowizyę, można od nich towar nabyć z drugiej ręki. Gotowy ubiór i obuwie z Wiednia wyrabiają tutejsi nędzarze, ale sami go nie zbywają, lecz za pomocą pośredników, którzy ciągną stąd swój haracz — i jeszcze należy dziękować Bogu, że nie sprowadzają z za granicy, lecz „wspierają“ drobny przemysł miejscowy.

Zachodzi pytanie, czy nie moglibyśmy się przecie otrząsnąć z tej plagi faktorstwa i wyplenić te pasorzytne chwasty. Udać się to może wtedy, jeżeli każdy krok w tej mierze czyniony będą popierać nietylko ludzie dobrej woli i opiekunowie z amatorstwa, ale też władze krajowe. Ale cóż mówić o naszych władzach?

Beta.

PAŃSTWOWE UBEZPIECZENIE NAJEMNIKÓW.

Według doniesień gazety *Dień*, minister skarbu wniósł już do rady państwa projekt ubezpieczenia robotników fabrycznych od wypadków nieszczęśliwych. Jeżeli wiadomość ta nie jest czczą i przedwczesną pogłoska, zdradzającą niepokój, czy życzenie gazeciarza, lecz faktem, który zostanie, przez wyższą władzę uświęconym, to doczekamy się instytucyi, znanej już dobrze zagranicą. W Rosyi sprawa askuracyi państwowej robotników była stawiana na porządku dziennym jeszcze w r. 1881. Opracowanie planu zlecono wtenczas Towarzystwu popierania przemysłu i handlu. Ubezpieczenie usiłowano nawet potem stosować w praktyce, ale sposobem prywatnym w niektórych fabrykach i zakładach przemysłowych, przy pomocy udogodnień prywatnych towarzystw askuracyjnych. Ale wskutek słabej odpowiedzialności materyalnej przedsiębiorców w razie wypadków nieszczęśliwych z robotnikami, próby te nie mogły przybrać szerszych rozmiarów.

Natomiast obecny projekt p. Wysznicgradzkiego dąży do ubezpieczenia państwowego, które się ma dokonywać za pośrednictwem ogólnej kasy dla wszystkich fabryk i zakładów przemysłowych. Kasa ta będzie napełniana obowiązkowemi składkami fabrykantów w stosunku do liczby zajętych w fabryce robotników. Wydawać ona ma emerytury kalekom, a w razie ich śmierci — pozostałym rodzinom. Widzimy więc z tego, że askuracya spada na barki samych kierowników produkcyi fabrycznej, robotnicy zaś tego brzemienienia wcale nie mają dźwigać. Pomysł ten jednak ma swoją piętę achilesową, którą dostrzega *Dień*. Zdaniem tego pisma, ofiary nakładane na przedsiębiorców nie powinny ich zwalniać z odpowiedzialności karnej i cywilnej, zwłaszcza zaś wtedy, gdy wypadek nieszczęśliwy, spotykający robotnika wyniknie z niedbalstwa administracyi fabrycznej lub braku odpowiednich urządzeń, zapewniających bezpieczeństwo najemnikom. „Jest rzeczą zupełnie naturalną, iż przeniesienie całej odpowiedzialności materyalnej na kasę ubezpieczeń mogłoby doprowadzić do wcale niepożądanych wyników. Łatwo także przewidzieć, że fabrykanci, zwolnieni od odpowiedzialności, zaniedbaliby zupełnie środków bezpieczeństwa.“ Wykrywszy tę słabą stronę projektu, a raczej zważywszy nadmiar ciężaru, mającego spaść na przedsiębiorców, *Dień* zaleca zwężenie systemu ubezpieczenia państwowego: radzi je stosować tylko w takich wypadkach, które zaszły skutkiem wyjątkowego zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, albo wtedy, gdy one wynikły z winy najemnika. „Kasa — powiada ten organ — może oczywiście we wszelkich warunkach wydawać emeryturę, jeżeli jednak winnym nieszczęśliwego wypadku jest sam przedsiębiorca, wówczas z zupełną słusznością należy zobowiązać go do pokrycia kosztów wynagrodzenia robotnika.“

Wielki przemysł jest jeszcze płonką młodą, poniekąd nawet rośliną egzotyczną, wymagającą osłony inspektowej, i opinia jego wyraziciela prawdopodobnie nie przebrzmi nadaremnie, ale żądana przez niego poprawka będzie miała słuszność dopiero wtenczas, kiedy dowiedzionem zostanie, że pojęcie „zbiegu nieszczęśliwych wypadków“ lub „winy najemnika“ są pojęciami ściśle określonemi, że one nigdy nie zmienią się w obszerną i rozciągliwą torbę, w którą wiele da się schować, nawet jedyna zasada askuracyi państwowej — wina samego przedsiębiorcy. W takim razie punkt oparcia systemu ubezpieczenia rządowego, któryby mógł najlepiej odpowiedzieć potrzebie chwili, zmalałby niepomiernie.

W związku z organizacyą ubezpieczenia od wypadków nieszczęśliwych projekt ministra ma na względzie wydawanie z kasy zapomóg robotnikom, którzy utracili zdolność do pracy skutkiem sterania sił lub choroby przewlekłej. Fundusz kasy tworzyć się ma wyłącznie ze składek samych robotników, gdyż przedsiębiorcy przysparzać go będą tylko w stosunku ⅓. „Należy jednak pamiętać — ostrzega bardzo słusznie tenże *Dień* — że choroby wśród robotników są w zależności od warunków hygienicznych, zawisłych znów do pewnego stopnia od dobrej woli fabrykanta. Można nawet twierdzić, iż warunki przeciwzdrowotne fabryk zrządzają większą szkodę zdrowiu najemników, niżeli oddzielne wypadki nieszczęśliwe. Stąd też nie wydaje się nam słusznem, żeby na kasę chorych składać się mieli wyłącznie sami robotnicy.“

A.

Lichwa na wsi. W miarę oddalania się od chwili zbiorów rolnych, fatalna kolka, która ciągle tkwi w boku chłopa małorolnego, coraz bardziej dokucza i pomimo że pokrzywdzony nie umie pisać korespondencyj o swojej biedzie, fakty o jego zaprzedaniu się lichwie coraz częściej wybiegają na szpalty dzienników. Garść znamiennych szczegółów daje p. Piaskowski w *Tygodniu* piotrkowskim. „Ostatnie lata nieurodzaju — pisze on — fatalnie wpłynęły na powiększenie się długów, obciążających drobną własność włościańską. Jeżeli gospodarz sześciomorgowy przed czterema laty miał długu 200 rs. i nie mógł „takowych“ (!) spłacić, to na pewno w obecnym czasie ma rs. 500, od których płaci procentu kopiejkę od rubla tygodniowo, czyli 52% rocznie. Procent taki ma nazwę utartą: „kopiejkówki.“ Włościanin woli zawsze pożyczać od żyda, niż od sąsiada, gdyż temu ostatniemu musi dodać, oprócz „kopiejkówki,“ kawałek łąki, pola pod kartofle, albo odrobić pa-

rę dni podczas żniw. Oto, jak się załatwiają formalności przy pożyczaniu: Dłużnik wystawia zwykle rewers w sądzie, albo na skutek wniesionej skargi przyznaje dług na jedną ogólną sumę, w którą wlącza kapitał, procent i vadium, zastrzeżone w razie nieoddania w terminie. Ponieważ słowność należy do bardzo rzadkich wyjątków, więc lichwiarz wyprocesowywa kapitał wraz z powyższymi dodatkami, które stanowią procent dorównywający sumie wypożyczonej. Oprócz lichwiarza-chłopa wzbogaconego i żyda, istnieje także (w wioskach nad Wartą) *Liba*, pożyczająca tylko po 10 rs. na 3 miesiące, z doliczeniem drugich 10-ciu, czyli *400%* rocznie. Jest jeszcze *Kaśka*, stara panna, bodaj najmądrzejsza, bo oprócz pieniędzy na lichwę pożycza także zboże na przednówku, biorąc po sprzęcie dwie ćwiartki za jedną. Dziś ta dobrodziejka z kilkudziesięciu rubli dorobiła się tysiąca, ma dużo inwentarza żywego, chałupę i zabudowania gospodarskie. Tym sposobem na piaskach, gdzie osiadła, zbiera plony obfitsze, niż rolnik na czarnoziemiu. „Cały ten wyzysk — pisze p. Piaskowski — odbywa się jawnie i legalnie wobec prawa.“ Autor twierdzi, iż radykalnym środkiem ratunku dla upadającej drobnej własności ziemskiej byłoby towarzystwo kredytowe ziemskie, założone wyłącznie przez włościan i dla włościan z hypoteką powiatową. „Dzisiejsza tabela likwidacyjna mogłaby posłużyć za podstawę do wywołania hypoteki powiatowej. List zastawny ziemski włościański chętnie byłby nabywany przez Wojciecha i Macieja, bo wiedzieliby, że list ten powstał z ziemi włościańskiej i jest zabezpieczony na „kumotra“ osadzie.“ Dużo dobrego serca i dobrych chęci w tym projekcie!.. *Drog.*

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Muzeum rzemieślnicze. Sprawa Muzeum rzemieślniczego zaczyna już wchodzić na pomyślniejsze tory. Ponieważ Muzeum rolnictwa i przemysłu dla braku odpowiednich środków odmówiło zwierzchniej opieki nad projektowaną instytucyą, więc ofiarodawcy zwrócili się do Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, które zajęło się chętnie tą sprawą, opracowało ustawę i uzyskało jej zatwierdzenie. Obecnie zaś wyjednało pozwolenie na zbieranie składek i ofiar. Tą drogą ma być zapewniony stały dochód w kwocie 6,000 rs. Zadaniem Muzeum będzie wskazywać naszym rzemieślnikom, jakie wyroby mają największy popyt za granicą i jakie udoskonalenia techniczne wprowadzono. Nadto ma ono gromadzić wzory rozmaitej ornamentacyi dla stolarzów, ślusarzów, snycerzów i innych, aby w razie potrzeby można było je zastosować u nas. Dalej, celem tej instytucyi będzie dać możność rzemieślnikom poznania nowych maszyn, narzędzi, drobnych motorów gazowych i innych, których zastosowanie mogłoby zwiększyć produkcyjność pracy rzemieślnika. Wogóle ma ona udzielać wszelkich wskazówek, zaznajamiać z wynikami postępu fachowego za granicą i tym sposobem zachęcać do wprowadzania pożytecznych nowości u nas. Niezależnie od tego będą uwzględnione współczesne wyroby krajowe tudzież dawne, wyróżniające się niepospolitością, z których rzemieślnicy mogliby czerpać wzory. Aby wypełnić nakreślony program, Muzeum posiadać musi własne albo czasowo do wystawienia udzielone okazy wyrobów wzorowych, zasługujących na rozpowszechnienie. Dalej: płody surowe i półprodukty do wyrobów rzemieślniczych potrzebne; warsztaty, narzędzia, motory dla przemysłu drobnego i inne środki pomocnicze, rysunki, fotogramy, wzory, kopie, modele itd., wreszcie bibliotekę dzieł i pism specyalnych, krajowych i zagranicznych. *Gazeta rzemieślnicza*, popierając sprawę szybkiego utworzenia Muzeum, zachęca fachowców niezamożnych do udzielania pomocy w naturze: „W każdym warsztacie, nawet najmniej zamożnym, który tylko uprawia rzemiosło, wkraczające w dziedzinę artyzmu, znajdują się t. zw. gezelsztyki, majstersztyki i wyroby okazowe, odznaczające się nierzadko oryginalnością form i pięknością rysunku, a zawsze sumiennością odrobienia. Następnie, posiadają wzory, rysunki i modele, które, jak pierwsze leżą po strychach i kątach, wystawione zaś na widok publiczny mogą służyć za wzory i motywy dla uczącego się rzemiosł młodego pokolenia.“

Program Muzeum, jak widzimy, jest dość szeroki i jeżeli będzie wykonany *całkowicie*, może istotną korzyść przynieść rzemieślnikom naszym, a wtedy sklepy i rynki nie będą zapełniane wyrobami o przestarzałych fasonach, niezgodnych z przemijającem upodobaniem spożywców. Rzemieślnik, posiadając szybkie i poglądowe objaśnienia o postępach techniki za granicą, o wyrobach, zastosowanych do żądań i gustów ogółu, będzie się starał otrząsnąć z ociężałości, rozbudzi energię i podąży za ogólną falą produkcyi i potrzeb ludzkich. Będzie usiłował współzawodniczyć z wytwórczością wielko fabryczną i naturalnie nie sprosta jej, ale, bądź co bądź, podniesie wartość swej pracy i łatwiej się przystosuje do wymagania chwili. *Zn.*

Zakład mleczarski. W ostatnich czasach coraz częściej przedsiębiorcy niezremianie zaglądają do gospodarki rolników naszych i starają się wyzyskać lekceważone a groszodajne gałęzie produkcyi. Jeden z takich aferzystów z Turku — jak donosi korespondent *Kaliszanina* — postanawia założyć na szeroką skalę zakład mleczarski w celu wytwarzania masła na wywóz. Obecnie traktuje on w okolicy bliższej i dalszej o warunki dostawy mleka minimum dwa tysiące litrów dziennie. Serwatka pozostała pójdzie na karmienie trzody. Do fabrykacyi ma być zastosowany motor parowy. Jeżeli przemysłowiec urzeczywistni w zupełności swój projekt, zakład jego wpłynie bardzo dodatnio na hodowlę inwentarza mleczarego w okolicy, gdzie warunki podobno nie sprzyjają hodowli owiec, prowadzonej pomimo niepowodzenia.

Z rynku.

Kontrabanda zbożowa. Od pewnego czasu — pisze *Tydzień* — zwrócono baczną uwagę na nadgranicznych kupców, trudniących się wywozem zboża za granicę, gdyż wielokrotnie się przekonano, że nie ma prawie wagonu, nadchodzącego z roślinami pastewnemi strączkowemi, w którym nie wiezionoby pewnej ilości pszenicy lub żyta. To też komora celna w Sosnowcu po wszechstronnem zbadaniu tego przedmiotu i obznajmieniu się z manipulacyą domieszek, praktykowaną przy tego rodzaju transportach, d. 14 stycznia najniespodziewaniej zatrzymała jednemu z większych tamecznych wywozowców wagon wyki, zmieszanej z *pszenicą*. Wypadek ten pognębił zbożowców, tak, że natychmiast słali depesze do dostawców z Cesarstwa z okrzykiem: *„ohne jeden weiteren Zusatz!“*

Ceny bieżące. Warszawa, 1 lutego. Zostało w składach tranzytowych na Pradze wytworów roślinnych 897 wagonów, wypravionio tylko 4. Na placu Witkowskiego (3 lutego) „przy usposobieniu ospałem“ sprzedawano pszenicę wyborową po 8,60—8,65, białą 8,5c, pstrą po 8,35, tj., po cenach wogóle niezmienionych. Żyta dostawiono 200 korcy. Przy ożywionym popycie, płacono za wyborowe 7,65—7,75, za średnie 7,50, na pospolite patrzano z góry. Usposobienie targu zbożowego na Pradze (1 lutego) było spokojne: za wyborowe żyto płacono 132—133 kop., za średnie 130—131, za pospolite 126—129. Ceny węgla kamiennego skutkiem popytu spożywców miejscowych i wywozu do Cesarstwa — wysokie: w kopalniach w sprzedaży hurtownej 55 kop. za korzec, na stacyi zaś towarowej kolei Warsz.-Wiedeńskiej rs. 90—95 za wagon.

Rynek pieniężny. Dnia 3 lutego ruble ceniono 201 za 100, na dostawę i w gotówce.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

— Ogłoszone zostało nowe prawo, określające kary za gwałtowne napaści jednych warstw ludności na inne z powodów religijnych i społecznych.

— Minister komunikacyi Hübenet uwolniony został od obowiązków.

— Gubernator warszawski, gen. Medem, powołany został do Senatu, a na jego miejsce mianowany dotychczasowy wice-gubernator Andrejew.

— Zarządzający kancelaryą warszawskiego oberpolicmajstra Michalewicz mianowany został wice-gubernatorem piotrkowskim.

KRONIKA.

Z okręgu górniczego. Według postanowienia komitetu ministrów, jednocześnie z oddaniem w dzierżawę rządowych kopalń galmanu, węgla tudzież zakładów cynkowych pp. Dervizowi i Szewcowowi, wprowadzono zmiany w administracyi. Urzędników zajmujących stanowiska zniesione wskutek wydzierżawienia zakładów, kazano wyłączyć z etatu i wypłacić im w ciągu dwóch lat pensyę pozaetatową na zasadzie p. 141 — 143 ustawy z 10 marca 1859 r. o służbie ogólnej w Królestwie Polskiem, lub zaliczyć do miejscowych inżenierów okręgowych. Nadto urzędnicy, którzy po ukończeniu terminu pozaetatowego nie wstąpią do służby, otrzymają prawo korzystania z ulg, według najwyżej zatwierdzonej ustawy (30 lipca 1868 r.) b. komitetu do spraw Królestwa Polskiego. Sieć telefonów prywatnych w Sosnowcu od 13 stycznia r. b. przeszła na własność rządu. Abonenci dzielą się na dwie kategorye: do 1-ej należą mieszkańcy o 3 wiorsty od centralnej stacyi telefonów, do 2-ej — mieszkańcy dalszych przestrzeni. Pierwsi płacą 150 rs. półrocznie z góry, drudzy 150 rocznie za pierwsze trzy wiorsty i za każdą następną po 25 rs. W tych dniach dąbrowieckie stowarzyszenie spożywcze „Nadzieja“ otwiera trzecią filię we wsi Niwka, a wkrótce urządzi czwartą we wsi Zagórze.

Taksa aptekarska. Od 1 stycznia r. b. zaczęła obowiązywać w Moskwie i Petersburgu, a za pół roku wejdzie w życie u nas nowa taksa aptekarska. Nie dotyczy ona ceny środków aptecznych, lecz tylko wynagrodzenia za przygotowanie lekarstw (*taxa laborum*). Opłata za przyrządzenie wszelkich ilości lekarstwa jest jednakowa. Co do proszków i pigułek, przyjęto za zasadę szacowania ilość ich, nie zaś wagę masy, z której były robione. Nowa taksa przeważnie stosuje się do lekarstw częściej używanych. Nie sprowadzi ona widocznej zmiany w cenie środków. Ktoś w *Gazecie lubelskiej* przypuszcza, iż w praktyce nowe przepisy obok dodatnich sprowadzą skutki ujemne: „Wiadomo, iż wogóle aptekarze instytucyom i pojedynczym biednym odstępowali od lekarstw procenty i to niekiedy bardzo znaczne; łatwiej to im przychodziło przy istniejącej taksie, przy obecnej zaś będzie to znacznie uciążliwsze, a nieraz prawie niemożebne, to też po zniżeniu taksy prawdopodobnie zniżyć się muszą i procenty ustępowane przez aptekarzy.“

Sprawy społeczne. *Pet. Wied.* donoszą, iż w r. b. przeznaczony będzie nowy kredyt w sumie 59,000 rs. na pokrycie wydatków nadzwyczajnych, związanych ze sprawą uregulowania stosunków czynszowych w gub. Południowo-Zachodnich.

— Regulamin zamierzonego przytułku dla żebraków w Warszawie, jest następujący: do zakładu na 200 osób obojga płci będą wprowadzani starcy i kaleki, trudniący się żebraniną. W ciągu najdalej trzech dni będzie badany szczegółowo stan ich zdrowia, zdolności do pracy, tudzież stosunków rodzinnych. W razie wykrycia udanego kalectwa, winni będą pociągani do odpowie-

działności sądowej. Zniedołężniali starcy, nie mogący istotnie pracować, będą powierzani krewnym, jeżeli ich mają. Tylko prawdziwie opuszczeni znajdą schronienie stałe.

— *Ruskaja żyzń* donosi o projekcie ustanowienia przepisu, na mocy którego wszelkie kary pieniężne, ściągane od robotników fabrycznych, użyte będą na utworzenie funduszu. Zapomogi z tego źródła mają być następujące: 1) w razie utraty przez robotnika zdolności do pracy, lub w razie dłuższej choroby; 2) w razie strat wynikłych z pożaru; 3) na pogrzeby biednych robotników i 4) na wydawanie wsparcia czasowego robotnicom brzemiennym.

— *Kur. warsz.* dowiaduje się, iż wkrótce będzie dokonana reforma kantorów i biur stręczeń służących, nauczycieli i oficyalistów. Zasadniczą cechą reformy ma być zwiększona odpowiedzialność właścicieli kantorów za rekomendowanie osób, które się okazały nieodpowiedniemi do zajmowania przyjętych obowiązków.

— *Gazeta lubelska* zaznacza brak popytu na propinacye, które dawniej przynosiły znaczny dochód. W niektórych miejscowościach nawet porozbierano budynki karczemne.

— Zatwierdzono drugą loteryę dobroczynną na 6 milionów rs. Ciągnienie pierwszej odbędzie się 1 (13) b. m.

— Celem zaradzenia coraz większemu brakowi robotników rolnych w pruskich prowincyach wschodnich, minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie, według którego obecnie nietylko kawalerzy lecz i żonaci robotnicy z Królestwa mogą być przyjmowani. Pozwolenie takie dawane będzie tylko na rok jeden.

— Policya krakowska, przekonawszy się, iż wśród młodzieży miejscowej szerzy się znaczna liczba dziełek i broszur treści pornograficznej, zarządziła rewizyę po antykwarniach i handlach książek, nielegalnie prowadzonych. Owocem poszukiwań była spora liczba książek i rycin obrażających moralność publiczną. Charakterystycznie ten fakt zarysowuje się na tle bogobojności krakowskiej.

— Według ostatniego spisu ludności, Galicya liczy 772,231 żydów, czyli 11% ogółu mieszkańców. Taki sam stosunek zachodzi między właścicielami ziemskimi (11,01% żydów).

Szkoły. *Petersb. wied.* dowiadują się, iż z inicyatywy p. ministra dóbr państwa istnieje projekt pomnożenia liczby praktycznych szkół ogrodniczych dla ogrodników wędrownych, którzyby zajmowali się nauczaniem włościan urządzania sadów itd.

— *Swiet* donosi, iż od przyszłego roku szkolnego wykład w ryzkiej szkole politechnicznej prowadzony będzie obowiązkowo w języku ruskim.

— W Turynie uniwersytet i szkołę inżenierów zamknięto.

Przemysł i handel. W magistracie warszawskim w wydziale patentowym w r. z. od d. 1-go do 13-go stycznia wykupiono 8,600 patentów przemysłowo handlowych, zaś w r. b. do d. 13 go stycznia opłacono tylko 6,500 deklaracyi, a więc o 2,100 patentów mniej niż w r. z. Przychód z opłat patentów tegorocznych wyrównywa zeszłorocznemu, wykupiono bowiem większą ilość drugiej gildyi, o wiele zaś mniej wpłynęło opłat za prowadzenie drobnego handlu. Pomimo, iż oznaczony był termin dwumiesięczny, pod zagrożeniem trzykrotnej opłaty dla tych, którzy nie wykupią patentów do d. 13-go stycznia, bardzo mała liczba interesantów postarała się wcześniej o deklaracye, i nawet najpierwsze domy handlowe wykupowały patenty dopiero w ostatnich dniach przed terminem prekluzyjnym. W sali patentowej — według *Kur. warsz.* — przez dni kilka przez 13-ym stycznia ścisk był tak wielki, że oczekiwano na deklaracye po kilka godzin.

— Wielu tutejszych kupców zbożowych, prowadzących handel z Niemcami, utrzymywało kantory w głównych punktach pogranicznych, jak: w Sosnowcu, Iłowie i Wierzbołowie. Z powodu zamknięcia granic dla wywozu zboża, obecnie kantory zostały ostatecznie zwinięte, agenci zaś odwołani do Warszawy.

Sprawy kolejowe. W r. b. wypłaconą będzie urzędnikom kolei Nadwiślańskiej gratyfikacya. Suma na ten cel przeznaczona wynosi 24,000 rs. tj. cokolwiek więcej, niż w r. z. Wypłata zaś nastąpi w połowie lutego. Ze względu na szczupłość funduszu, gratyfikacye otrzymają tylko urzędnicy, odznaczający się gorliwością w służbie i nie korzystający w r. b. z długotrwałych urlopów.

— Ogólny dochód kolei Wiedeńskiej na rok bieżący zaprojektowano w okrągłej sumie 10 milionów rs., rozchód zaś w sumie 7,270,800 rs. zatem według projektu, czysty dochód wyniesie 2,729,200 rs. Pierwsze miejsce zajmuje utrzymanie służby drogowej, drogie budunków, mostów, kanałów, przejazdów itp., (2,427,590 rs.); utrzymanie wydziału mechanicznego, nabycie i konserwacya taboru, wynagrodzenie rzemieślników i utrzymanie warsztatów, (2,076,500). Utrzymanie służby ruchu, telegrafu i telefonów (1,398, 900 rs.); wynagrodzenie rady zarządzającej, kontroli pasażerskiej i towarowej oraz koszty ogólne wynoszą 710,580 rs., utrzymanie zarządu, służby zdrowia i części gospodarczej 439,430 rs. i nareszcie różne wydatki nieprzewidziane 217,800 rs.

— W r. b. niezależnie od projektowanej budowy dróg podjazdowych do główniejszych stacyj kolei w Królestwie Polskiem, postanowiono przeprowadzić dodatkowo kilka dróg do przystani na rzece Wiśle i na jej dopływach. Na ten ostatni cel ministeryum przeznaczyło 250,000 rs. Roboty mają się rozpocząć na wiosnę.

— Zmiany osobiste w etacie kolei Wiedeńskiej w r. b. wprowadzone, ostatecznie już uregulowano. Po za obrębem nominacyj dopełnionych w każdym niemal wydziale pozostało kilka posad wakujących, które w ciągu roku dopiero będą obsadzone.

— Puszcza Białowiezka, jak donosi *Kijew. słowo*, ma być połączona własną odnogą kolejową z kolejami Południowo-Zachodniemi, a mianowicie ze stacyą Kleszczele. Zadaniem nowej odnogi będzie ułatwienie eksploatacyi materyału drzewnego w lasach białowiezkich.

Komunikacye. Ruch na kolei Wilanowskiej rozpocznie się w połowie kwietnia. Cała linia podzielona będzie na 5 oddziałów: 1) od rogatki belwederskiej do Marcelina 3 kop. za kurs; 2) od Marcelina do osady Wojtowskiej 3 kop.; od osady Wojtowskiej do kościoła w Czerniakowie 4 kop.; 4) od kościoła do fortu 3 kop. i 5) od fortu do Wilanowa 7 kop. Cały kurs do Wilanowa będzie kosztował 20 kop. dla jednej osoby, a według przybliżonego obliczenia, przejazd ten potrwa od 20—30 minut.

— Otwarto komunikacyę telefoniczną pomiędzy Sofią i Filipopolem. Linia ma długości 160 kilometrów.

Zmarli. Feliks Brzozowski, malarz, w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Kr. Pyta Pan, co to znaczy? Znaczy to naprzód, że pismo, które rozprawia o „hiperprodukcyi robotników" nie rozumie obcego wyrazu, a następnie „nadmierne wytwarzanie."

Pani Zecie. Za dużo mamy pracy z poprawianiem rękopisów, które idą do druku, ażebyśmy mogli wyświadczyć Pani taką usługę i w takiej mierze.

P. W. Pot. „Encyklopedya dla dzieci" na ukończeniu.

Oo. Niech Pan nie męczy muzy daremnem wzywaniem, a nas nieudolnemi wierszami.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Января 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.